

Modna i już! Moda w PRL / Pogrzeb w Chinach / Poradzić sobie ze stresem

MILYTER



ISSN 1732-6494

N° 3/2016 (67)
magazyn studentów
Krakowskiej Akademii

Magister na wybiegu

Pochodząca z Mielca Paris Maziarska, ogłoszona w Pekinie tytułem „World Supermodel”, skutecznie podbija świat mody, przełamując związane z nim stereotypy



MIXER magazyn studentów
Krakowskiej Akademii im. Andrzeja
Frycza Modrzewskiego

ISSN 1732-6494

Redaktor naczelny:
Joanna Cisło
joannakarolina.cislo@gmail.com

Zespół:
Joanna Cisło
Iryna Davydenko
Magdalena Grochalska
Oskar Gryfin
Valeriia Hubar
Anna Kaczmarczyk
Klaudia Kowalska
Szymon Łażny
Maciej Saskowski
Magdalena Skalka
Paweł Szczepanik
Krzysztof Szczupak
Wioletta Witas
Oleksandra Zhuralova

Korekta
Katarzyna Krzyszkowska

DTP i layout:
Mateusz Janusz
(hussars.pl | teoportier.pl)

Adres:
gazetamixer@gmail.com

Druk:
Drukarnia MK Promo

Nakład:
500 egzemplarzy

Opieka redaktorska:
Dariusz Baran
(Wydział Zarządzania
i Komunikacji Społecznej)

Na okładce:
Paris Maziarska
Fot. Yazan Hamama, sesja
odbyła się w hotelu Rado****

Spis treści

Pierwszy dzień Konferencji Mediów Studenckich	4
Drugi dzień Konferencji Mediów Studenckich	5
Trzeci dzień Konferencji Mediów Studenckich	6
Magister na wybiegu	7
Modna i już! Moda w PRL	11
Złot fanów Doktora Who	13
O Gwiazdnych Wojnach różnie – MOC	14
Papierowe miasta, fikcyjne życie	16
Emocje niepoważne, czyli o zniechęcaniu do rzeczy dobrych	17
Muzyka kijowskich uliczek	18
I znowu ten jeden rok	19
Pogrzeb w Chinach	20
Wrzucić coś na ząb	24
Dobrze wypaść na rozmowie kwalifikacyjnej	26
Poradzić sobie ze stresem	27
Zdrowie i przygoda na dwóch kółkach	28
Emocje w przystępnej cenie	30



Szanowni Państwo,

już po raz trzeci mamy przyjemność oddać w Wasze ręce „Mixera”, mając jednocześnie nadzieję, że periodyk ten wpisał się już na stałe w życie naszej Uczelni.

Ogromnie cieszy, że do grona stałego składu redakcyjnego z każdym numerem dochodzą nowe osoby, które chcą pisać o ważnych dla nas sprawach i wydarzeniach. Dlatego też w obecnym numerze znajdziecie m.in. relacje z trzydniowej Konferencji Mediów Studenckich, która odbyła się w kwietniu w Akademii, praktyczne porady jak przygotować się do rozmowy kwalifikacyjnej, a także sposoby na radzenie sobie ze stresem.

Gościem numeru jest Paris Maziarska – topmodelka, która specjalnie dla „Mixera” postanowiła podzielić się radami dla przyszłych zdobywczyń wybiegów. Dużo miejsca poświęciliśmy w tym wydaniu kulturze. Obok ciekawego felietonu, nasi redaktorzy zrecenzowali starannie wybrane książki, spektakle teatralne oraz wystawy, chcąc tym samym zachęcić do czytania, oglądania i przemyśleń.

Powoli tradycją staje się już, że zabieramy naszych Czytelników w bardziej lub mniej odległe strony świata, starając się przybliżyć zwyczaje i obrzędy innych kultur. Tym razem proponujemy wycieczkę do Chin.

Po wysiłku intelektualnym zapraszamy na rekonesans po krakowskich lokalach i pubach, wychodząc z założenia, że, w końcu, nie samą kulturą i nauką student żyje...

Joanna Cisko

Joanna Cisko
Redaktor Naczelna



Zdobądź doświadczenie, poznaj fajnych ludzi. poszerz horyzonty!

Dołącz do redakcji MixERA!

**Napisz na adres:
gazetamixer@gmail.com**

Pierwszy dzień Konferencji Mediów Studenckich

Przez trzy dni trwały spotkania i warsztaty dla przyszłych dziennikarzy. Zawitali na nich studenci z całego kraju. Pierwszymi gośćmi byli Jacek Żakowski i Filip Chajzer.

Oskar Gryfin

Student III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

13 kwietnia 2016 roku o 15:30 rozpoczęła się piąta Ogólnopolska Konferencja Mediów Studenckich, zorganizowana przez Krakowską Telewizję Internetową (KTVI), Studenckie „Radio Frycz” oraz Krakowską Akademię im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Udział w niej wzięli studenci uczelni oraz przedstawiciele mediów studenckich z całej Polski. Konferencję zainaugurowało przywitanie wszystkich redakcji. Kolejnym etapem było przemówienie kanclerza Klemensa Budzowskiego, w którym profesor przypomniał o przełomowych odkryciach i wynalazkach w dziedzinie mediów. W jego słowach dało się odczuć nostalgię za starymi czasami, kiedy słabiej rozwinięta technologia nie odbierała ludziom tyle czasu co dzisiaj. Następnie głos zabrała prof. nadzw. dr hab. Katarzyna Pokorna-Ignatowicz, życząc uczestnikom zadowolenia ze spotkań i miłego pobytu w Krakowie.

Przywitano pierwszego gościa. Był nim publicysta Jacek Żakowski, jeden z komentatorów tygodnika „Poli-



tyka”, mający też swoje audycje w radiu „Tok FM”. Spotkanie poprowadził Mateusz Kapera. Żakowski okazał się wielomównym dyskutantem, choć może nie zawsze precyzyjnym. Poruszano głównie tematy polityczne oraz te związane z dziennikarstwem. Na koniec spotkania zgromadzeni słuchacze dostali szansę na zadawanie pytań, z której skorzystali cztery razy.

Drugim gościem był reporter telewizji „TVN” Filip Chajzer. Charakter tego spotkania był bardziej familiarny. Dziennikarz wspominał o swoich relacjach z ojcem, trudnych początkach w karierze zawodowej i niskich zarobkach w pierwszej pracy w radiu, jednocześnie podkreślając, że jest to normalny etap dziennikarskiej ścieżki. Wyświetlono również fragmenty kilku jego reportaży. I tym razem publika pod koniec spotkania miała szansę na zadanie kilku pytań; tym razem padło ich ponad dziesięć.

Koniec drugiego spotkania był jednocześnie zwieńczeniem pierwszego dnia konferencji. x



Drugi dzień Konferencji Mediów Studenckich

Drugi dzień konferencji rozpoczął się spotkaniem z Anną Gacek, dziennikarką muzyczną i prezenterką Programu III Polskiego Radia, oraz Konradem Piaseckim, redaktorem i dziennikarzem radiowo-telewizyjnym, związanym z RMF FM, TVN24 i portalem Interia.pl, zdobywcą nagrody Grand Press dla najlepszego dziennikarza roku 2015.

Szymon Łażny

Student I roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Pierwszym gościem drugiego dnia była Anna Gacek, z którą rozmowę przeprowadziła Weronika Sirasz. Redaktor Gacek opowiadała o swoich początkach w radiu, o tym, jak ciężko trzeba pracować, żeby osiągnąć sukces. Pytanie otwierające rozmowę dotyczyło początków Anny w dziennikarstwie. – Do Programu Trzeciego Polskiego Radia nie sposób się dostać. Miałam wolny dzień i postanowiłam zobaczyć budynek radia. W tym samym czasie remontowano zamknięty parking, przez który dziennikarze bocznymi drzwiami dostawali się do obiektu. Dzięki temu przed głównym wejściem spotkałam Pawła Kostrzewę, który po krótkiej rozmowie zaprosił mnie do „Expresu” (*Trójkowy Expres*, audycja w PR III – przyp.red.) i tak już zostałam. – Gacek mówiła również o specyfice pracy: – W pierwszych latach pracowałam ponad wszelką przyzwoitość, musiałam wykazać się pracowitością, która o nic nie pyta. – Dziennikarka odsłoniła kulisy przeprowadzania wywiadów z takimi zespołami jak Kings Of Leon czy The Strokes. – Początkowo strasznie spalał mnie stres. Masz niewiele czasu, musisz wejść i sprzedać się pierwszym pytaniem; to jest duże ciśnienie. Potrafiłam chodzić 25 minut dookoła hotelowej kanapy, myśląc nad tym, jakie pytania zadam. Po pewnym czasie nauczyłam się cieszyć wywiadami. Wchodzę, zadaję pierwsze pytanie i już wiem, że nie zamieniłabym tej sytuacji na żadną inną.

Drugim gościem tego dnia był redaktor Konrad Piasecki, z którym rozmowę przeprowadził Mateusz Kapera. Zaczął od pytania o nagrodę Grand Press, przyznaną dla najlepszego dziennikarza 2015. – Byłem zaskoczony. Po pierwsze, miałem poczucie, że jeszcze nie zasłużyłem, a po drugie byłem zaskoczony z powodów czysto technicznych. Wyobrażałem sobie, że jak ktoś dostaje taką nagrodę, to powinien przed jej otrzymaniem dostać sygnał.

Tymczasem otrzymałem jakiś telefon, ale zupełnie nie odniosłem wrażenia, że tę nagrodę dostanę i będę głównym bohaterem uroczystości. – Piasecki mówił również o swoich programach – *Kontrwywiadzie RMF* (radio) oraz *Piaskiem po oczach* (telewizja). Zapytany o to, czy boją się go politycy, odpowiedział: – Ci ostrożni rzeczywiście. Wśród polityków krąży nawet legenda o słynnej niebieskiej kanapie *Kontrwywiadu*, na której oczekują goście przed wejściem na antenę. Politycy powtarzają sobie: „Uważaj, Piasecki usadzi cię na takiej niebieskiej kanapie, stracisz czujność, a on to przeciwko tobie wykorzysta”. – W dalszej części rozmowy Konrad Piasecki mówił również o swoich radiowych i telewizyjnych rozmowach z politykami, aktywności na portalach społecznościowych, pracy i etyce dziennikarskiej.

Dzień zakończył się warsztatami dziennikarskimi, przygotowanymi dla studentów i uczestników konferencji. Zostały one poprowadzone przez niezależnego producenta filmowego Lecha Mikulskiego. Studenci w nich uczestniczący mieli szansę poszerzyć swoją wiedzę dotyczącą warsztatu filmowego. x



Trzeci dzień Konferencji Mediów Studenckich

Gościem trzeciego dnia Konferencji Mediów Studenckich był Kamil Baleja, dziennikarz RMF FM, współprowadzący audycję „Lepsza połowa dnia”. Podczas spotkania wspominał o początkach w studenckim radiu „Indeks”, opowiedział o tym, jak wygląda praca dziennikarza radiowego, dlaczego wybrał RMF i jak radzi sobie z hejtem.

Klaudia Kowalska

Studentka I roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Spotkanie z charyzmatycznym Kamilem Baleją prowadziła Gabriela Gajewska, która na początek przedstawiła video ukazujące kulisy pracy dziennikarza w RMF FM. Jak skomentował Kamil, był to tylko skrawek tej przyjemniejszej części jego pracy. Swoją przygodę z radiem rozpoczął już na studiach. Ukończył politologię na Uniwersytecie Zielonogórskim, choć, jak sam przyznaje, wiedział, że studia mu w życiu nie pomogą i musi znaleźć na nie pomysł. Tym pomysłem okazało się radio, które od zawsze sprawiało mu frajdę. Początki nie były łatwe: w studenckim radiu zarabiał 2,60 zł na godzinę, ale było to raczej symboliczne, bo najważniejsze, że robił to, co kocha. Uważa, że najtrudniejsze na początku są brak pasji i pozytywnego wsparcia.

Dziennikarstwo to ogromne poświęcenie i odpowiedzialność i wielu studentów zdaje sobie z tego sprawę. Potwierdza to sam Baleja, mówiąc: – To wy pełnicie służbę, wy jesteście dla słuchaczy. – Jego praca nie polega na samym odczytaniu do mikrofonu wiadomości z promptera, bo słuchacze na kilometr wyczuwają fałsz; najważniejsza jest naturalność. Przed programem wraz z Kasią (Wilk, współprowadząca „Lepszą połowę dnia” – przyp.red.) starają się ustalić, o czym będą rozmawiać i przygotowywać materiały. Oczywiście zdarzają się improwizacje, które dają dużą adrenalinę, jednak niewybaczalnym grzechem jest nie być przygotowanym do audycji.

Podstawą w radiu jest głos i dykcja. Kamil, zapytany o to jak i czy w ogóle go trenuje, odpowiada: – Trenuję paszczę przed każdym wejściem na antenę. – ZadeMONSTROWAŁ przy tym ćwiczenie polegające na szczekaniu i po-

lecał ćwiczenia z korkiem dla wszystkich zainteresowanych pracą w radiu.

Najbardziej motywującą częścią konferencji było stwierdzenie dziennikarza, że dzisiejsza młodzież jest pokoleniem *Nic mi się nie chce*. – To choroba waszego rocznika, młodym wydaje się, że wszystko łatwo przychodzi. – Dziennikarz uświadamiał studentów, że jeżeli chcą coś osiągnąć, to muszą ciężko na to pracować i, cytując mówcę, „zapierniczać jak mały motorek”. Ważne jest, aby wierzyć w siebie i powtarzać sobie, że się uda. Na pytanie, dlaczego wybrał RMF, odpowiada szczerze: – Jak ktoś chce być piłkarzem, to chce grać dla Realu Madryt. – Dodając z uśmiechem na twarzy: – Słupki nie kłamią. – Uważa, że należy zaczynać od największych stacji i pamiętać, że „Jak nie drzwiami, to oknami”.

Na spotkaniu został poruszony także temat hejtu i tego, jak sobie z nim radzić. Baleja słusznie zauważył, że nie ma ludzi odpornych na wyzwiska i że z reguły to boli tym bardziej, kiedy nie zrobiło się drugiej osobie nic złego. Na koniec dziennikarz został zapytany o to, czy zamieniłby studio radiowe na telewizyjne, na co po chwili zastanowienia odpowiedział: – Kocham studio radiowe. Nie wiem, czy bym chciał. Radio ma magię. – Marzy mu się stworzenie radia na wzór amerykańskich stacji, które byłoby jeszcze bliżej ludzi. Co według Kamila Balei jest najfajniejsze w byciu dziennikarzem? – Radość ludzi po drugiej stronie odbiornika, którzy się z nami identyfikują. **K**



Magister **na wybiegu**

Jej zdjęcia zostały wyróżnione przez „Vogue Italia”, pracowała przy produkcji w Bollywood, w Chinach pozowała do katalogu „Victoria’s Secret” oraz brała udział w Mercedes Benz China Fashion Week i Fashion Week India. W Polsce występowała w takich serialach, jak „Hotel 52”, czy „Rezydencja”, często pojawiała się w programie „Pytanie na śniadanie” oraz zasiadała jako juror w konkursie The Look of the Year 2015. Pochodząca z Mielca Paris Maziarska, ogłoszona w Pekinie tytułem „World Supermodel”, skutecznie podbija świat mody, przelamując związane z nim stereotypy.

Joanna Cisło

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Zdjęcia: Fot. Yazan Hamama, sesja odbyła się w hotelu Rado****
Kolekcja i buty Christian Louboutin by Patrycja Pasek

JOANNA CISŁO: Twoja przygoda z modelingiem rozpoczęła się, można powiedzieć, przez przypadek: zostałaś dostrzeżona na ulicy przez przedstawicielkę jednej z agencji modelek w Londynie. Czy jednak wcześniej, posiadając takie predyspozycje, nie myślałaś o podążaniu tą drogą?

PARIS MAZIARSKA: Odkąd tylko pamiętam, chciałam zostać modelką. Zawsze oglądałam stacje i programy poświęcone tej tematyce, takie jak „Fashion TV”, i marzyłam, by prezentować na wybiegach kreacje od znanych projektantów. To prawda, w Londynie zaczęła mnie agentka modelek, nie skorzystałam jednak wtedy z jej propozycji, ponieważ zdecydowałam się wrócić do Polski na studia magisterskie.

J.C.: Co sądzisz o popularnych ostatnio programach telewizyjnych, wylaniających przyszłe modelki? Czy dziewczyny biorące w nich udział mają szansę na realną karierę w branży, czy chodzi tu jedynie o walory czysto rozrywkowe?

P.M.: Świat modelingu to wbrew pozorom nie rozrywka, ale ciężka praca. Programy, o których wspominaś, ukazują pracę modelki w niekorzystnym świetle, skupiając się na grze na emocjach i przyciągnięciu widza przed ekran. Szczególnie dobrze można to dostrzec, gdy uczestnicy płaczą lub muszą zrobić coś wbrew swojej woli. Ze wszystkich edycji zaledwie kilku osobom udało się podpisać zagraniczne kontrakty i rozwinąć kariery, na temat reszty niestety nie słyszy się zbyt wiele, co mówi samo za siebie.

J.C.: Wiele dziewczyn marzy o karierze modelki, jednak zaledwie części z nich udaje się je spełnić. Co w Twoim przypadku spowodowało, że wspięłaś się na szczyt i na nim pozostałaś?



P.M.: Jak wspomniałam wcześniej, kariera modelki była od zawsze marzeniem, które chciałam zrealizować. Wydaje mi się, że było wiele czynników, które spowodowały, że jestem obecnie w tym, a nie innym miejscu. Na pewno dobry manager i profesjonalna agencja to więcej niż połowa sukcesu. Wiara w siebie, samodyscyplina, ciągle doskonalenie się zarówno jeśli chodzi o fizyczność, jak i umysł to również ma wielki wpływ na to, jak potoczy się nasza kariera. Nie można zapomnieć o znajomości języków, to również bardzo ważna część w pracy modelki; ich nieznanie jest sporą barierą w tym zawodzie.

J.C.: Władasz płynnie trzema językami, a czwartego właśnie się uczysz. Czy oprócz znajomości języków jest jeszcze coś, co zdecydowanie przydaje się w modelingu?

P.M.: Znajomość języków obcych, jak wspomniałam, jest bardzo ważna – nie mogę oczekiwać, że ktoś z międzynarodowej ekipy, z którą pracuję, dostosuje się do mnie. Muszę być elastyczna i obyta w sytuacjach, nawet tych, które przytrafiają mi się po raz pierwszy. Modeling to praca z ludźmi, a to bywa dość trudne – ile osób, tyle charakterów i różnic w poglądach.

J.C.: Życie modelki to przeważnie nieustanne podróże oraz wynikająca z tego przytłaczająca samotność. Czy masz jakiś sposób na radzenie sobie z tym?

P.M.: Rzeczywiście, samotność jest nieodłącznym elementem wpisanym w ten zawód. Gdy wyjeżdżam z Polski, zawsze kupuję karty z dostępem do internetu, aby móc pozostać w kontakcie z rodziną oraz moją agencją. Najlepszym rozwiązaniem jest praca, gdy jest jej dużo, nie ma się czasu na rozmyślanie.

J.C.: Opowiedz, proszę, jak wygląda Twój typowy dzień pracy.

P.M.: Wstaję rano, a w czasie, gdy biorę prysznic, dostaję od swojej agencji listę castingów, w których będę brała udział. Później jadę na lotnisko, gdzie przeważnie czeka na mnie kierowca lub taxi i zabiera mnie prosto na sesję lub pokaz mody, w zależności od moich planów.

J.C.: Czy masz jakiegoś ulubionego projektanta?

P.M.: Oczywiście, jest wielu projektantów, których podziwiam; są to m.in. Yves Saint Laurent, Christian Dior, Anthony Vaccarello czy też Gucci. W swojej garderobie posiadam mnóstwo kreacji i akcesoriów, które mieszam w zależności od humoru, sytuacji czy też okazji. Zdjęcia moich stylizacji można zobaczyć na moim blogu Classic or Cool.



J.C.: Wiem, że Twoim autorytetem, jeżeli chodzi o modeling, jest Anja Rubik. Co w niej cenisz najbardziej?

P.M.: Owszem, Anja Rubik to moja ulubiona modelka i zarazem ikona stylu. To, co najbardziej mi w niej imponuje, to to, że jest cały czas aktywna oraz nie ogranicza się wyłącznie do branży modowej. Bardzo podoba mi się jej wszechstronność oraz oczywiście świetne wyczucie stylu.

J.C.: Wiele się mówi o agencjach wykorzystujących dziewczyny i żerujących na ich marzeniach. Jak odróżnić, która z nich jest profesjonalna, a która jedynie za taką się uważa?

P.M.: Listę profesjonalnych agencji można znaleźć choćby w internecie. Jeżeli chodzi o moje doświadczenie, współpracowałam z ECManagement, MFmodels oraz Mango Models. Moja kariera nabrała tempa w ECManagement. Odkryła mnie Aneta Kowalczyk – fotografka, która poleciła mi manager Ewie Chmieli, a ta wypromowała mnie i kierowała dalszą karierą.



J.C.: Jak oceniasz polską scenę modową? W dalszym ciągu pozostajemy w tyle za Mediolanem, Paryżem i Londynem, czy zaczynamy może wypracowywać już własny styl?

P.M.: Mamy w Polsce wielu naprawdę wspaniałych projektantów. Osobiście najbardziej cenię sobie Mariusza Brzezińskiego, uwielbiam jego perfekcyjne

podejście do wykończeń oraz projektów *high fashion*. Prywatnie, od wielu lat, jest on również moim przyjacielem. Jeżeli zaś chodzi o mój własny styl, modeling zdecydowanie miał na niego wpływ i dzięki niemu nauczyłam się łączenia różnych stylów. Są pewne rzeczy, które uwielbiam niezależnie od okazji, takie jak np. białe podkoszulek, biała koszula, moksasy, jeansy, złote szpilki czy też złote baletki. Nigdy nie wiem, co się wydarzy, muszę więc być ubrana wygodnie, a jednocześnie stylowo. Nie ukrywam, że lubię rzeczy dobrej jakości, szczególnie jeśli chodzi o buty i pierścionki, na punkcie których mam słabość. W mojej garderobie można znaleźć projekty bardzo wielu projektantów polskich, jak i światowych, chociaż jestem w stanie zmieścić w niej coraz mniej rzeczy.

J.C.: Jakie są Twoje plany zawodowe na kolejne lata? Wiem, że byłaś jurorką w konkursach mody oraz wykładowczynią. Czy wiążesz z tym swoją przyszłość?

P.M.: Modeling będzie zawsze obecny w moim życiu, staram się jednak nie ograniczać do jednej dziedziny. Jestem otwarta na wszelkie interesujące projekty, odnajduję spełnienie również w coachingu oraz motywowaniu innych. Zdobyłam tytuł magistra pedagogiki resocjalizacyjnej i socjalnej, w przyszłości nie wykluczam podjęcia studiów doktoranckich lub pracy w zawodzie.

J.C.: W internecie możemy przeczytać setki rad na temat tego, jak zacząć pracę w modelingu. Co jednak powinno być pierwsze? Zrobienie profesjonalnych zdjęć, zgłoszenie się do agencji...? Co poradziłabyś młodym dziewczynom, chcącym podążać Twoimi śladami?

P.M.: Pierwsza powinna być zdecydowanie wiara w siebie. Następnie dobre polaroidy (np. zdjęcia w bikini i bez makijażu) i dobór profesjonalnej agencji. Równie ważne jest oczywiście dbanie o siebie – zwłaszcza o sylwetkę, cerę, włosy, oraz pilnowanie wymiarów. Na pewno liczy się też mocna psychika i gotowość do bycia poddawana nieustannej ocenie oraz presji. Jednego dnia można usłyszeć, że jest się idealnym do sesji, a kolejnego, na castingu, że już jednak nie. Osobiście uwielbiam pokazy mody, czuję się wtedy w swoim żywiole. Są one najtrudniejsze z racji tego, że wszystko może się podczas nich wydarzyć; na dodatek na oczach ogromnej publiczności fotografów, kamerzystów i widzów. Zawsze jednak wzbudzają one we mnie podekscytowanie. **x**



Modna i już! **Moda w PRL**

**„Moda jest dziedziną sztuki, w której każdy powołany jest do twórczości”
– Janina Ipohorska (Jan Kamyczek)**

Uszyte ze spadochronu, dziane na drutach z surowca pozyskiwanego z linek spadochronowych, uszyte z mapy wojskowej. Jedwabne, wełniane, szyfonowe, ze skóry węża, z białego króliczego futra, drukowane materiały, plastik. Wszystko to można było zobaczyć na wystawie w Krakowskim Muzeum Narodowym. Choć wystawa już się zakończyła, warto odświeżyć sobie wiedzę o PRL-owskiej modzie.

Magdalena Grochalska

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Ubrania na co dzień, ale też eleganckie suknie, nawet takie od światowych projektantów. Gustowne dodatki, czyli kapelusze, rękawiczki, szale i niebanalne buty. Zestaw prawdziwej kobiety, która w powojennej Polsce nie miała dostępu do wszystkiego, ale starała się zawsze wyglądać elegancko, z klasą, po prostu: dobrze. Moda okresu powojennego w Polsce to czas, w którym... nie było w czym wybierać. Ubrania najczęściej przerabiano z materia-

łów powojennych i tego, co ogólnie było dostępne. Prawdziwe damy dbały jednak o każdy szczegół stroju. Na krakowskiej wystawie „Moda w PRL” można było podziwiać wszystko – od sukien ręcznie robionych, skromnych, aż po kostiumy ślubne idące śladami światowych projektantów, po których widać było, jak upływający czas zmieniał modę.

Światowych trendów nie znalazł prawie nikt, a moda była ucieczką, dzięki której można było zapomnieć

o tym, co działo się podczas wojny. Dopiero projektant Christian Dior zapoczątkował nowy styl *New Look*; odtąd panie mogły eksponować swoje kształty np. poprzez wąskie w talii, rozkloszowane spódnice. Do Polski moda przyszła prosto z Paryża, jednak okres stalinowski uniemożliwiał kobietom ubieranie się wedle ich chęci. Nieoceniona okazała się pomoc krawców, które nawet przy niewielkim dostępie do materiałów potrafiły stworzyć piękne ubra-



nia, przypominające te od słynnych projektantów. Kropki, paski, krata na sukienkach. Buty w szpic. Kapelusze wizytowe z piórami i rękawiczki z koźlecej skórki. To wszystko było kwintesencją ówczesnej elegancji i klasy.

W modzie cały czas panował podział na stroje codzienne i na wielkie wyjścia. Mała Stabilizacja w latach 1956-1970 była czasem strojów nadających się tylko na wyjścia eleganckie, codziennych – w zależności od pory dnia, oraz

tych na każdą okazję, czyli np. na plażę (stroje jednoczęściowe lub bikini zrobione na szydelku z resztek włóczki). Z czasem większy dostęp do materiałów syntetycznych pozwolił na dłuższe utrzymanie ubrań w jak najlepszym stanie. Ubrania były trwalsze. Lata 60. to czas odmładzania mody, wywrócenia jej do góry nogami. Teraz dorosłe kobiety chciały znów poczuć się nastolatkami. Noszono krótkie sukienki i przyjęło się „mini”, którego nie bano się ubierać nawet w dzień

swojego ślubu! Wszelkie stereotypy, towarzyszące wcześniej, poszły w niepamięć.

Marka „Moda Polska” z okresu PRL-u oznaczała elegancję i najwyższy, z możliwych, luksus. Miała za zadanie reprezentować PRL za granicą. Bardzo gustowne suknie projektu Kaliny Paroll i te wieczorowe Magdy Ignar i Ireny Biegańskiej; dzianina projektu Krystyny Dziak i Krystyny Wasylkowskiej czy kreacje teatralne Jerzego Antkowiaka, który pełnił też rolę kierownika artystycznego. To cały skład projektantów „Mody Polskiej” pod kierownictwem Haliny Kłobukowskiej. Na wystawie, prócz kreacji, można było obejrzeć również rysunki tych projektantów. Na wystawie nie mogło też zabraknąć projektów ikony świata mody w Polsce Ludowej, czyli Barbary Hoff. Projektantka miała wyczucie stylu i zawsze dobrze wiedziała, co wskazać jako hit danego sezonu. Prostota i szyk były kluczem do jej sukcesu.

„Dobrobyt na kredyt”, czyli lata 70., kiedy zaczęto nosić ubrania luźne, na co dzień, były okresem, w którym już nie tylko panowie nosili spodnie, ale też kobiety. I dobrze się w nich czuły. Każda mogła odnaleźć w tym stylu coś dla siebie – spódnice do kostek czy też spodnie dzwony. Na wystawie mogliśmy podziwiać ubrania, które są własnością Maryli Rodowicz. Stroje kolorowe, wesołe, które pokazywały jej unikatowość i odzwierciedlały nastrój piosenkarki. To Rodowicz zachęcała młode dziewczyny do eksperymentowania z modą.

Pomysł na wystawę był sukcesem. Ekspozycja cieszyła się świetnymi opiniami, co potwierdziła duża liczba odwiedzających (około 39 tysięcy). Ja sama, będąc w Muzeum Narodowym w ostatni dzień wystawy, z samego rana, weszłam jeszcze bez kolejki, jednak gdy wychodziłam po trzech godzinach, kolejka była ogromna. Bardzo miło było zobaczyć tylu chętnych do poznania mody okresu Polski Ludowej. ❌

Zlot fanów Doktora Who

W marcu tego roku w Artetece krakowskiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej mieliśmy okazję spotkać najmądrzejszego przybysza we Wszechświecie czy zobaczyć na własne oczy kosmiczny statek. Konwent „Whomanikon” nie zawiódł fanów, co pokazuje, jak bardzo tego typu imprezy są dziś popularne.

Oleksandra Zhuralova

Studentka II roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

„Whomanikon” to wydarzenie poświęcone popularnemu brytyjskiemu serialowi „Doktor Who” i dedykowane jego fanom. Dla tych, którzy być może nie kojarzą produkcji: opowiada o obcym, który podróżuje przez czas i przestrzeń z pomocnikami (zwykle pochodzącymi z Ziemi) i przy okazji ratuje inne, odległe światy. Jego emisja rozpoczęła się w 1963 r. na kanale BBC; serial, mimo upływu czasu, w dalszym ciągu jest niezwykle popularny i wzbudza u widzów wiele emocji. Przez dziesiątki lat emisji jego fani stworzyli wiele teorii oraz założeń związanych z fabułą, w trakcie „Whomanikonu” mieli więc idealną okazję, by je wszystkie omówić. Oprócz dyskusji z innymi wielbicielami Doktora, można było wysłuchać wykładów prowadzonych przez profesorów z krakowskich uczelni – także fanów serialu.

Głównym wydarzeniem konwentu był festiwal *cosplay*, czyli popularnej na całym świecie rozrywki, której nazwa pochodzi od połączenia angielskich słów „costume” i „play”. Polega ona na przebraniu się za znanego bohatera popkultury, książek, seriali, filmów czy anime, a główną zasadą jest, że uczestnicy maskarady sami szyją sobie stroje. Na zagranicznych festiwalach zdarzało się, że znani aktorzy przebierali się za postaci z filmów czy kreskówek, np. Barta Simpsona, i wchodziłi w tłum, zaczepiając ludzi dookoła. Nikt jednak nie był w stanie ich poznać, albowiem kostiumy były tak dopracowane!

Na „Whomanikonie” zwycięzcą *cosplay* została dziewczyna w stroju anioła, uwagę przyciągała jednak także inna, niezwykle oryginalna para. Ona lat pięćdziesiąt, on – o połowę młodszy. Zapytani o udział w festiwalu podkreślali, że posiadają wieloletnie doświadczenie w przebieraniu się i że wszystkie stroje robią sami, a branie udziału w licznych festiwalach jest ich rodzinnym hobby.



Podobne wydarzenia, gromadzące tysiące fanów, odbywają się w Europie, Ameryce i Azji. Są one organizowane przez wytwórnie filmowe, wydawnictwa komiksów oraz książek. Jednym z największych i najbardziej popularnych zlotów jest „Comic-Con” w San Diego, który w 2010 roku zgromadził około 130 tys. osób. W planie festiwalu znajdują się przeważnie wystawy książek, komiksów, seriali, filmów oraz gier komputerowych. Oprócz fanów, przyjeżdżają tam również aktorzy, reżyserzy oraz scenarzyści z Hollywood, by zaprezentować widowni swoje najnowsze filmy. Bardzo często to właśnie goście „Comic-Con” jako pierwsi na świecie, mają okazję obejrzeć trailery i teasery przyszłych hitów kinowych czy telewizyjnych.

Festiwale takie jak „Whomanikon” to wyjątkowe miejsce spotkań i dobrej zabawy. Łączą pokolenia fanów, dają możliwość poznania ludzi o podobnych poglądach i zainteresowaniach oraz wymianę doświadczeń. To dobrze, że i w Polsce gromadzą coraz więcej miłośników produkcji filmowych, literatury fantastycznej czy komiksów. x

O GWIEZDNYCH WOJNACH RÓŻNIE

MOC

Pierwsze *Gwiezdne Wojny* (GW) nakręcono jako średnio- lub nawet niskobudżetowy film SF. Większość efektów specjalnych miała charakter lekko garażowy, szczególnie w stosunku do późniejszych mega produkcji typu *Terminator*, a nawet *Blade Runner*. Wytwórnia uznała film za na tyle zwykły, że zgodzono się, by reżyser George Lucas zachował prawa do idei i ikonografii *Star Wars*. Lucas odpowiadał także za efekty specjalne (rozwinął przy okazji butik efektów specjalnych Industrial Light And Magic), które stworzyły atmosferę filmu.

Maciej Saskowski

Doktorant Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Sukces filmu był zadziwiający, a jeszcze większym okazało się licencjonowanie zabawek i wizerunków z filmu. *Star Wars* było przedsięwzięciem, które rozwinęło do niewyobrażalnych wcześniej rozmiarów ideę produktu kompozytowego, czyli filmu jako podstawy do stworzenia wyimaginowanego świata, który następnie sprzedawany jest we wszystkich postaciach, w jakich da się sprzedać. Poza oczywistymi zaletami komercyjnymi, pomysł ten doskonale pasował do oczekiwań widzów, którzy po obejrzeniu epepej pragnęli wiedzieć co dalej lub przynajmniej co obok. Powstało więc wiele książek, filmów, zabawek, komiksów i gier komputerowych, które do dziś poszerzają świat *GW*. A ten rozwija się jako alternatywa bajkowa i heroiczna świata rzeczywistego. Coś jak powtórzenie fenomenu Tolkiena i szerzej – fantasy.

W galaktyce *GW* panuje ewidentnie ziemscy cywilizacja, jednak Ziemia nie występuje nawet jako legendarna planeta-matka, tak jak nie występuje u Tolkiena. Gdy zaczynamy od zera, od czystej przestrzeni kosmicznej, możemy zaprojektować cywilizacje nieumocowane w ziemskiej historii, modelowe i higieniczne, ustroje złe i ustroje dobre, jak w dziełach twórców utopii. Baśń ta może swobodnie posługiwać się skojarzeniami i wizerunkami z całej historii ziemskiej. I tak, główni bohaterowie i adwersarze to: ludzie z amerykańskiego Dzikiego Zachodu (Han Solo, planeta Tatooine), naziści (Darth Vader i armia imperialna), bajkowi arystokraci z dworu bawarskiego (księżniczka Leia i Dwór Rebelii), Celtowie i Greenpeace

(Moc i Rycerze Jedi), Arabia Saudyjska (Jabba), Republika Rzymska i przejście do Cesarstwa (Stara Republika i senator Palpatine), Bizancjum (Naboo i królowa Amidala), mały geniusz komputerowy, włamujący się do Pentagonu (mały Anakin i wyścigi podów), diabeł i Szatan (Darth Maul i Darth Sidious), średniowieczna armia białych szkieletów lub egipskich psiogłowych (Gwardziści Imperialni, roboty bojowe Federacji Handlowej) etc., etc. *Gwiezdne Wojny* to eklektyczna i bogata opowieść, skonstruowana na schemacie najstarszych bajek i opowieści heroicznych, które opowiadamy dzieciom. I dlatego taką przyjemność sprawia jej oglądanie: „naszemu pokoleniu” przyjdzie to robić przez całe życie.

GALAKTYKA JAK POLSKA

Wprawdzie historie z *Gwiezdnymi Wojnami* dzieją się w galaktyce „daleko stąd”, ale można zauważyć, że nie jest to duża galaktyka. Została raczej skrojona na bardzo ludzką miarę, w sam raz, by pomieściła akcję opery mydlanej. Tatooine jest wielka jak Pustynia Błędowska, port Mos Espa ma pięciuset mieszkańców i jeden niewielki bufet z 5-osobową orkiestrą, zaś baza na Hoth dwa hangary i sześć ślizgaczy. Imperium atakuje z użyciem czterech ATAT (bitwa pod Kurskiem to nie jest), na Endorze nasi bohaterowie napotykają trzy patrole i może pluton Imperialnych Gwardzistów. Znalezienie Yody na Dagobah przez Luka wymagało poszukiwań w promieniu 40 m,

co nie było dużą wyprawą. Ogólnie, sądząc po zaludnieniu i infrastrukturze ekonomicznej świata GW, zbliżony on jest wielkością do Pruszkowa pod Warszawą. Jedyny problem, to gdzie w Pruszkowie zaparkować niszczyciel gwiazdny.

POLITYKA RODZINNA

Podobnie jak w *Iliadzie* Homera i w wielu późniejszych opowieściach, historia GW jest opowiadana i tworzona przez główne postaci dramatu, których wzajemne stosunki i konflikty wpływają w sposób decydujący na losy reszty świata. Przeciągnięcie jednego człowieka – Luka Skywalker – na stronę zła decyduje o losach milionów planet. Wartości organizacyjne, polityczne i moralne systemów politycznych, które ścierają się w GW – Republiki, Imperium i Rebelii nie mają znaczenia wobec faktu, kto personalnie za czym stoi. Republika i Rebelia są po stronie dobra, przede wszystkim ze względu na powiązania z klanem Skywalkerów oraz ich przyjaciółmi. Imperium jest złe głównie z powodu zatrudniania facetów w czerni, w kapturach oraz z rogami. Jak w baśniach – tam też musimy uwierzyć na słowo, który król jest OK, a który ma zły charakter.

Cóż, ustroje społeczne są na tyle skomplikowanymi systemami, że ich budowa i działanie nie wydają się ani zrozumiałe, ani tym samym godne zainteresowania większości ludzi. A szkoda. Polityka, pojmowana jako konflikt paru facetów o miłym obejściu z paroma obdarzonymi złym oddechem, jest zrozumiała. Pozwala *Gwiezdnym Wojnom* pozostać epepeją homerycką, z typową dla niej barwnością i wciągającą historią, ale też i niewielką dbałością o życie zwykłych ludzi, których miliony giną, by bohaterowie mogli lekko się zdenerwować. Dziesięcioletnia wojna o Troję, z powodu kiepskiego romansu Parysa, jest jak wysadzenie Alderaan przez Vadera, by nastraszyć Leię, czy też wysadzenie drugiej Gwiazdy Śmierci w budowie wraz ze wszystkimi na niej zatrudnionymi hydraulikami, stolarzami i tapicerami.

XVIII-WIECZNA EKONOMIA

Ekonomia nie odgrywa w świecie GW żadnej racjonalnej roli. Nigdy nie dowiemy się, skąd swoje zasoby czerpie Imperium (marnowane na kolejne Gwiazdy Śmierci) ani kto utrzymuje Rebelię (szczególnie gdy główna baza znajduje się na przyjaznej dla rozwoju przemysłu, zamrożonej planecie Hoth). Skala działalności handlowej też nie wydaje się wielka, jeżeli największy gangster galaktyki, Jabba, posiada stary zamek o wartości dużej willi pod Radomiem, a największy port przemytników na Tatooine można przejść piechotą w pół godziny spaceru wśród parterowych lepiank.

Znacznie mocniejsze są akcenty ekonomiczne (w początkowych napisach *Mrocznego Widma* przeczytamy: „Opodatkowanie dróg handlowych do dalekich systemów gwiazdnych jest przedmiotem kontrowersji”...), które, bardziej niż do wolnorynkowego kapitalizmu, przybliżają nas do panującego w świecie bajek systemu ekonomicznego, zwanego merkantylizmem – charakterystycznego dla działalności XVIII-wiecznej Kompanii Wschodnioindyjskiej i jej stosunków z państewkami Radzów.

RASY I UPRZEDZENIA

Niektórzy Amerykanie, czuli jak nasi niegdysiejsi cenzorzy na wszelkie przejawy politycznej niepoprawności, dostrzegli w GW rasową arogancję białego człowieka. Uważali, że Lucas świadomie wykorzystuje stereotypy etniczne w konstruowaniu postaci kosmitów, co jest szczególnie brzydkie. I tak: szefowie Federacji Handlowej przypominają Japończyków lub innych Azjatów (takie interpretacje pochodzą z pacyficznej Kalifornii, dla mnie, Europejczyka, przypominają raczej dożów weneckich), handlarz używanych części i właściciel niewolników Watto ma zakrzywiony, duży nos oraz mówi w sposób i z akcentem typowym dla Żydów, a głupek Jar Jar Binks zachowuje się w sposób zwykły dla przybyszów z Karaibów. Wprawdzie królowa Amidala wygląda z chińska, a jeden rycerz z rady Jedi jest Murzynem, ale to mało. W pierwszych częściach Lucas był neutralny, a świat GW słodko wielokulturowy. Możliwe, że po Ruandzie i Bałkanach Lucas stał się większym realistą (na szczęście trochę się dla poprawności rehabilituje i zli bohaterowie senator Palpatine oraz Anakin-Vader to biali mężczyźni).

SPOSÓB PATRZENIA I KLASYCZNA KRYTYKA INTELEKTUALNA

Gwiezdne Wojny nigdy nie cieszyły się poważaniem krytyków filmowych, w odróżnieniu od kinowej widowni. Prawdopodobnie wynika to z faktu, że krytycy w większości patrzą na inne filmy niż my. OK, niby te same, jednak poszukują w nich ważnych treści i filozoficznych spostrzeżeń na temat natury ludzkiej. Jest to o tyle zabawne, że jak z moich obserwacji wynika film i literatura w ogóle specjalną mądrością nie grzeszą, a różnią się raczej poziomem banalności; rzeczy mętne lub mniej banalne uznajemy za arcydzieła. Z kinem jest tak, że ważne jest sprawienie przyjemności naszej ludzkiej naturze, potrzebie rozrywki, zadziwienia, przestraszenia, miłości, seksu, wspólnoty odczuwania. Wielka popularność *Titanica*, *Gwiezdnym Wojnom* czy filmów Quentina Tarantino jest na to najlepszym dowodem, takim samym jak nuda wiejąca z polskich filmów moralnego niepokoju, gdy ich polityczna treść się zdezaktualizowała.

Przywołana tu *Iliada* ma w detalu drewniane dialogi i nielogiczną historię, jest jednak, podobnie jak *GW*, odcinkową opowieścią heroiczną o fajnej atmosferze, z czadowymi zbrojami, specjalnymi zakrętami narracji (pięta Achilleusa), pomysłowym podstępem (koń Odyseusza) i niejasnym zakończeniem (co Agamemnon robi z Heleną). Jest historią do odcinkowego rozwijania (ciąg dalszy: *Odyseja*) przez kolejnych śpiewaków (reżyserów). Podobna odcinkowość, widoczna w każdym z filmów *Gwiezdnych Wojen*, który nie kończy się zdecydowanie i raczej dopiero w całości, wraz z książkami i komiksami, tworzy Wielką Galaktyczną Historię.

Po miążdzącej często krytyce amerykańskich publicystów, *Gwiezdne Wojny* i tak są oglądane przez miliony. Ze wspólnego chóru krytyków, wytykających złe aktorstwo, drewniane dialogi i nieumiejętną reżyserię George'a Lucasa, wylał się Roger Ebert (człowiek-instytucja w amerykańskiej krytyce filmowej), który zwrócił uwagę, że *Gwiezdne Wojny* są widowiskiem, bajkową historią do oglądania, a nie dyskursem filozoficznym. Przedstawiają świat świetlisty i piękny, pełen dziwów, niezemskich krajobrazów, stworów i cyrkowych emocji, epopeję o skali homerowej (to nie znaczy, że specjalnie ogromnej), ze scenami po prostu zapierającymi dech. Trzeba czerpać właściwe przyjemności z właściwych filmów. x



Papierowe miasta, fikcyjne życie

„*Pójdiesz do papierowych miast i nigdy już nie powrócisz*” – zdanie to jest idealnym odzwierciedleniem całego utworu oraz tego, co chciał nam za jego pomocą przekazać autor.

Valerlia Hubar

Studentka I roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Książka ta może nie przypaść do gustu wszystkim, warto więc na początku przeanalizować twórczość autora. John Michael Green to jeden z najwybitniejszych pisarzy współczesnych, który na przestrzeni lat zadziwił nas swoimi utworami i zainteresował młodych czytelników w Stanach Zjednoczonych, ale i poza ich granicami. I to już w 2005 roku, kiedy to wydał pierwszą, przyciągającą uwagę książkę „Szukając Alaski”, za którą rok później zdobył zresztą nagrodę Printz Award. Już wtedy stało się jasne, dla jakiego audytorium pisze. Po trzech latach opublikowana została jego druga książka, „Papierowe miasta”. Ostatnią powieścią „Gwiazd naszych win” autor ponownie zaskarbił sobie serca publiczności. Większość osób kojarzy go jednak z powodu pierwszej i drugiej powieści, utworów, które zdecydowanie warto przeczytać, by poszerzyć swoją wiedzę.

„Papierowe miasta” to książka, która znalazła się na 5. miejscu na liście najlepszych pozycji wg „New York Times”, a w 2009 r. została nominowana do nagrody im. Edgara Allana Poe za najlepszą powieść w stylu „young adult”. Opowiada o szkole średniej, pierwszych poważnych przeżyciach i stratach, ale i o marzeniach, do których spełnienia każda postać próbuje dążyć. Książka jest napisana przejrzystym i klarownym językiem, dzięki czemu można za jej pomocą odprężyć się i przyjemnie spędzić czas. Figurują w niej dwie główne postaci: Quentin Jakobsen (dla przyjaciół „Q”) i Margo Roth Spiegelman.

Tymczasem ekranizacja, choć z technicznego punktu widzenia prezentuje się nieźle, merytorycznie różni się znacznie od wersji papierowej. Brakuje w niej wielu wydarzeń, które zostały zamieszczone w książce. W głównych rolach wystąpili Nat Wolff oraz znana modelka Cara Delevingne. Pierwszą rzeczą, jaka rzuca się w oczy, jest „mityczna” postać Margo Roth Spiegelman, która została przedstawiona w bardzo nudny i jednostajny sposób. Film, jak to niestety bywa w większości przypadków, nie ukazał całego piękna, które dostrzegają czytelnicy podczas czytania książki. Widz, który nie zna powieści, oglądając ekranizację może zastanawiać się, czy jest sens sięgania po książkę; recenzje, często negatywne, wydają się odzwierciedlać opinie widzów. Krytykowana jest głównie za pominięcie wielu ważnych wątków z książki oraz pojawienie się nowych zbędnych.

Wydaje się więc, że przez ekranizację nawet sama książka o papierowych miastach stała się „papierową”. A to ocena niesprawiedliwa. x

Emocje niepoważne, czyli o zniechęcaniu do rzeczy dobrych

Paweł Szczepanik

Student II roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Pewien redaktor, znany z radiowych Dwójki i Trójki oraz Gazety Wyborczej, chętnie bywa w Krakowie na festiwalach Sacrum Profanum oraz Misteria Paschalia. Lubuje się ów redaktor tak samo mocno w muzyce dawnej lub – precyzyjniej – tzw. *wykonawstwie historycznie poinformowanym*, muzyce współczesnej, jak i nurtach nieklasycznych – alternatywie i elektronice. Jest kompetentny, wszechstronny i doskonale wykształcony, ma niezły głos, mówi składnie i dykcję ma nienaganną. Niemal pozbawiony wad. A jednak, ma on pewną zaskakującą przypadłość, która – obym się nie mylił! – wynika z przywiązania do polskiej mowy, dbałości o nią, troski o czystość, wręcz czułości odczuwanej w stosunku do polszczyzny. Redaktor używa mianowicie sformułowania „muzyka poważna” w odniesieniu do tego, co Anglosasi ochrzcili mianem *classical music*, „muzyki klasycznej”. Na pytanie, dlaczego nie chce nazywać pewnego wycinka ludzkiej twórczości muzyką klasyczną, zdejmującego odium powagi i kierującego uwagę ku historyczności, odpowiada, że po pierwsze w języku naszym nie istnieje takie określenie (nawet, jeśli uzus daje nam inną odpowiedź), ewentualnie istnieje muzyka klasycystyczna jako jej skromna część, po drugie epitet „poważna” doskonale oddaje jej charakter, należy bowiem podchodzić do niej z należytą nabożnością, rewerencją, admiracją etc.

Ten nadęty wstęp i przytoczona anegdota służą temu, by pokazać, jak

bardzo można dystansować za pomocą języka coś, czego dystansować się nie powinno. Być może dotarliście jednak do początku tego akapitu, mimo że usiłowałem was zawiloscą poprzedniego zniechęcić. Być może nawet jesteście ciekawi, co będzie za chwilę. Jeśli nie dotarliście, to wasza strata, nie przeczytacie jednak tego, całujcie się więc, gdzie popadnie, tymczasem ja zamierzam pisać dalej, ale i wyjaśnić, czemu służył ten zniechęcający zabieg. Otóż mam poczucie, że przez takich nadętych bufonów, jak wspomniany redaktor, oraz ja (w pierwszej części tego tekstu), sztucznie budujemy podziały i zrażamy do rzeczy, które w swej istocie są całkowicie inne, aniżeli w wizerunku. Określenie „muzyka poważna” nosi w sobie pierwiastek odpychający, bo każe nam myśleć, że nie ma w niej rozrywki, czyli czegoś, co ludzie lubią i czego szukają. Każe myśleć, że powstawała wyłącznie w napadzie twórczego szału kompozytora-demiurga, że nie pozwala się nią cieszyć ani wzruszać, a jedynie zmusza do dyscypliny i skupienia i wymaga przygotowania. Tymczasem proszę was, nie wiercie w to kłamstwo. *Allegro* znaczy „wesoło”. *Divertimento* znaczy „rozrywka”. Do opery chodziło się kiedyś, by spędzić wieczór na jedzeniu, seksie z mniej lub bardziej przygodnymi osobami i rozmowach. Mozart pisał głównie dla zabawy. Kastraci byli jak Michael Jackson, mieszkali w odizolowanym od świata i codzienności Neverlandzie, byli równie odrealnieni i zara-



Fot. www.freeplk.com

biali równie absurdalne pieniądze, ale przyprawiali o dreszcze i wprawiali w zachwyt, prosty i niewymuszony, jak ten towarzyszący odsłuchowi *Dirty Diany*. Toteż zapomnijcie o zadzierających nosa dwójkowych redaktorach i nie słuchajcie muzyki poważnej. Słuchajcie muzyki wywołującej emocje. x

Muzyka kijowskich uliczek

Spotykamy ich prawie każdego dnia, spacerując po mieście czy spiesząc się do swoich spraw. Grają, śpiewają i wprowadzają przechodniów w pozytywny nastrój. Uliczni muzycy Kijowa.

Iryna Davydenko

Studentka II roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Skąd wziął się zwyczaj ulicznych występów muzycznych? Należałoby cofnąć się do czasów starożytnych, kiedy to pokazy w miejscach publicznych, często za napiwki, były zjawiskiem całkowicie naturalnym. Prezentowano wtedy wszelkie umiejętności, które były w stanie zainteresować widownię: zonglowanie, rysowanie karykatur, występy ze zwierzętami czy też zaklinanie węży. I Kijów nie był tu wyjątkiem. Kroniki z XIX w. wspominają o wybitnych kobziarzach, takich jak Tymofij Bilohradski, Ostap Weresaj czy też Andrij Szut. Do XX wieku, dla ochrony swojej sztuki, uliczni artyści łączyli się w braterstwa.

Podczas przerwy świątecznej wybrałam się do centrum Kijowa z konkretnym celem: znalezienia ulicznych grajków. Dookoła jaskrawych wystaw sklepowych i licznych kawiarni spacerowało wiele par z dziećmi, zakochanych oraz studentów z legendarną „perepiczką po-kijewsku” (parówką w cieście) w rękach. W pewnym momencie wpadła mi do ucha znajoma melodia z dzieciństwa – płynęła z saksofonu i gitary klasycznej. To dwóch młodych chłopaków śpiewało piosenkę „Złote miasto” (ros. *Город золотой*) rosyjskiego gitarzysty Władimira Wawilowa. Zwracali uwagę przechodniów, choć publika przysłuchująca się ich muzyce na dłużej nie była zbyt liczna.

Gdy utwór wybrzmiał do końca, podeszłam do muzyków, zadając im kilka pytań. Chętnie opowiedzieli o tym, że poznali się w szkole muzycznej, w której obecnie studiują na III roku. Wład gra na saksofonie od czasów podstawówki (teraz ma 19 lat), jednak nie zamierza być profesjonalnym muzykiem, ponieważ jego plany są ściśle związane z pracą reżysera filmowego. Dla Romana muzyka zawsze była czymś, co grało mu w duszy. Jest studentem wokalistyki.

Kiedy zaczęliście grać na ulicy?

ROMAN: Zeszłej wiosny. Było nas wtedy trzech, z jeszcze jednym gitarzystą. Początkowo chodziło jedynie o zarobienie pieniędzy, jednak szybko zauważyliśmy, że przynosi nam to również zadowolenie i swego rodzaju spełnienie. Nie gramy często, gdy jednak mamy taką możliwość, wychodzimy na godzinę, dwie.



Więcej gracie dla przyjemności czy dla zarobku?

ROMAN: Obie te rzeczy są dla nas ważne. Utrzymujemy się ze stypendiów, więc dodatkowy zarobek nie zaszkodzi. Chodzi jednak również o to przyjemne uczucie, gdy widzisz, że ludziom wokół podoba się to, co robisz i gromadzą się, by wysłuchać twojej muzyki. To naprawdę budujące przeżycie.

WŁAD: W ulicznych występach podoba mi się to, że mogę po prostu cieszyć się grą i nie martwić, że nie robię tego perfekcyjnie. Gdybym zajmował się tym profesjonalnie, musiałbym wykluczyć wszelkie pomyłki i błędy, ponieważ klient zlecający mi pracę miałby pewne wymagania dotyczące mojej muzyki i tego, jak ma ona wyglądać. Na ulicy zasada jest bardzo prosta: jeżeli utwór nie przypadł Ci do gustu – nie musisz płacić.

Jeśli to nie tajemnica, ile zarabiacie w ciągu dnia?

WŁAD: W ciągu godziny, dwóch możemy zarobić ok. 100-200 hrywien (16-33 zł), ale zdarza się, że nie uda nam się nawet uzbierać pieniędzy na pokrycie kosztów przejazdu. Szczególnie gdy robi się coraz zimniej, o zarobek nie jest tak łatwo. Podobnie w dni powszednie;

wtedy szansa na zdobycie dodatkowych pieniędzy jest znikoma.

ROMAN: W zimie bardzo rzadko gramy na ulicy, czasami jedynie w przejściach podziemnych, gdzie jest nieco cieplej. Dzisiaj pogoda wyjątkowo dopisuje, dlatego wyszliśmy na chwilę.

Gdzie najczęściej można Was usłyszeć?

ROMAN: Latem i jesienią często występowałem na stacji metra Lukyanivska; to dość zatłoczone miejsce położone przy akademiku. Czasami również w przejściach podziemnych na stacjach Kontraktowa i Posztowa.

Czy spotkaliście się kiedyś z chamstwem czy prześladowaniem przez władzę z powodu gry na ulicy?

WŁAD: Jeśli za władzę uznać miejscowy patrol, który składał się z sierżanta i dwóch kursantów, to się spotkaliśmy. (*śmieją się*) A tak to nie.

Grajkowie wracają do swoich zajęć, a ja tym razem pytam przechodniów, co sądzą na temat występów ulicznych grajków.

KATERYNA, 19 lat: Uwielbiam takich muzyków. Czasami zdarzają się amatorzy z gitarą, którzy nauczyli się paru akordów i wyszli ujarzmić kijowskie ulice piosenkami, ale można też trafić na naprawdę dobrych wykonawców. Bezpośrednio na ulicy, w parku lub w przejściu można na chwilę oderwać się od codzienności i po prostu posłuchać przyjemnych melodii.

SIERGIEJ, 35 lat: Chcesz grać, to graj, lecz tak, aby ludzie, którzy słyszą twoją sztukę, uśmiechali się, a nie krzywili i uciekali.

IRYNA, 20 lat: Bardzo lubię muzyków ulicznych i w miarę możliwości staram się ich wspierać. Od kilku hryvien nie zbiednieję! (*śmiech*) Tacy artyści nie tylko cieszą ucho, a jeszcze budują atmosferę Kijowa jako prawdziwego europejskiego miasta. Grają z prawdziwą pasją, od razu można zarazić się od nich pozytywnymi emocjami.

Takich grup jak zespół Włada i Romana jest w Kijowie mnóstwo. Latem na ulicach pojawia się około setki artystów, którzy występują głównie w okolicach Kreszczatyku i Podole. Podobnie jak grajkowie w Krakowie, tworzą niepowtarzalną atmosferę starego miasta. Dla niektórych w ten sposób zaczyna się prawdziwa kariera. Brytyjski wokalista pop-rockowy Rod Stewart, francuski muzyk-minimalista Yann Pierre Tiersen czy polski muzyk i poeta Maciej Maleńczuk – oni również „zaczynali” swoje kariery od występów ulicznych. ✖

I znowu ten jeden rok...

„Kocha, to poczeka”... – to popularne powiedzenie bardzo dobrze odzwierciedla relację łączącą Doris i George’a, bohaterów spektaklu „Za rok o tej samej porze” Bernarda Slade’a. Główne role w sztuce wystawianej w Teatrze Bagatela grają Magdalena Walach i Wojciech Leonowicz.

Magdalena Skalka

Studentka I roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Kameralna scena w jednej z krakowskich kamienic na Sarego 7. Na scenie pojawia się dwójka aktorów: Ona – Doris, kobieta mająca kochającego męża i dzieci, której, wydawać by się mogło, niczego więcej do szczęścia nie potrzeba. On – George, to żonaty księgowy, również mający kilkoro pociech. Zanim cokolwiek powiedzą, widzom ukazuje się sypialniane łóżko, w którym para leży bez ruchu, niczego nie zdradzając. Ten sam widz jest jednak w stanie od razu wykreować sobie obraz tego, co działo się tutaj zeszłej nocy.

Ów zadziwiający duet połączonych dusz i ciał jeszcze wtedy chyba nie zdawał sobie sprawy, że zarówno On, jak i Ona będą od tej pory spotykać się dokładnie tu, co rok, w tym samym pokojowym hotelu, przez kolejnych 20 lat. Przypadkowy romans łączący tę dwójkę, mimo upływu lat się nie kończy, a my z każdą kolejną sceną widzimy, jak zmienia się relacja łącząca Doris i George’a. Oboje ciągle coś tracą, oboje zyskują; świat wokół nich się zmienia, a Oni wciąż trwają.

Magdalena Walach i Wojciech Leonowicz świetnie oddali emocje bohaterów – pasja i namiętność przeplatane są przez nich z troską. Gdzieniegdzie wkrada się nutka zazdrości, by kolejno ustąpić miejsca zrozumieniu oraz chęci bycia ze sobą w każdej wolnej chwili. Są synonimem pary ciągle poszukującej i to mimo, że oboje prowadzą pozornie ustabilizowane życie, stale szukają u drugiej osoby miłości, szczęścia i zrozumienia.

Widz po obejrzeniu tego spektaklu może pozostać w lekkim szoku i zadawać sobie pytanie, co tak naprawdę łączyło tę parę i ile w rzeczywistości można poświęcić dla miłości? Czy Doris i George przez te wszystkie lata łączyły tylko i wyłącznie więzy przywiązania i wzajemnego pożądania, czy może coś więcej? Z pewnością było to trudne uczucie – za każdym razem wystawiane na próbę i nigdy, tak naprawdę, do końca przez nich nie określone. Nigdy przecież nie jesteśmy w stanie do końca przewidzieć, czy ten, kto dzisiaj zapewnia nas o swojej dożgonnej miłości, będzie nas kochał równie mocno za rok, jak i przez kolejne lata. Sami również nie wiemy, czy miłość tak silna jak dawniej, pozostanie w nas samych.

Polecam wszystkim tę pełną humoru, refleksji i podskórnego, magicznego napięcia sztukę. Mam nadzieję, że i Wam przypadnie do gustu historia tej niezwyklej pary. ✖



Fot. www.gentlemansgazette.com

POGRZEB W CHINACH

Obywatele tego państwa bardzo silnie przywiązani są do obrzędów związanych z pochówkiem i życiem duszy po jej śmierci. Podstawową różnicą w stosunku do naszej tradycji i kultury jest choćby kolor żałobny. Bo dla Chińczyków kolorem żałoby jest biel.

Anna Kaczmarczyk

Absolwentka Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



W starożytnych Chinach już nawet agonię człowieka nazywano „ułożeniem puchu”

Na ustach umierającego układano się kilka włókien puchu lub jedwabiu, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Kiedy następował zgon, członek rodziny wspinał się na dach domu i wzywał duszę zmarłego do powrotu. Ten obyczaj nazywał się „namówienie duszy do powrotu”. Potem kładziono zmarłą osobę na ziemi, gdyż energia życiowa

pochodzi z ziemi, i jeśli to nie pomogło wskrzesić osoby zmarłej, uważano ją za ostatecznie zmarłą. Potem myto zwłoki i ubierano je, co nazywano „małym owinięciem”, następnie wkładano do trumny, „duże owinięcie”. W usta zmarłego wkładano odrobinę pokarmu lub kawałek nefrytu. Do pogrzebu mogło jednak upłynąć sporo czasu, zwłaszcza jeśli trumna była transportowana do rodzinnej wioski zmarłego. Członkowie rodziny przybywali, żeby złożyć pokłony przed trumną, przy czym liczba żałobnych lamentów była ściśle określona i zależała od stopnia pokrewieństwa.

Za czasów dynastii Sang 1500-1066 p.n.e., wraz ze zmarłym władcą, do grobu składano ofiary z ludzi, które z czasem zastąpiono glinianymi figurkami (np. armia z terakoty w Xian), prawdziwy wóz z zaprzęgiem, zbroje, naczynia z brązu, biżuterię. Potem powstał zwyczaj wytwarzania przedmiotów wyłącznie przeznaczonych do pochówku ze zmarłym. Były to miniaturowe wyobrażenia rzeczy i ludzi z otoczenia zmarłego. Następnie zastąpiono je wycinankami z papieru, które spalano.

Mówi się, że biel jest w Chinach kolorem żałoby, tymczasem chodzi tu bardziej o niebarwione ubrania na czas jej noszenia

Położenie grobu było specjalnie dobierane, bo od tego zależał spokój zmarłego i los jego potomków. Zmarły po śmierci wędrował do świata podziemnego. Śmierć oznaczała początek wędrówki przez dziesięć trybunałów piekła. W pierwszym na podstawie uczynków określano, czy dobre uczynki przeważają nad złymi. Dusza osoby wybitnie zasłużonej wędrowała wprost złotym mostem do trybunału dziesiątego, gdzie była reinkamowana lub przechodziła srebrnym mostem do raju. Co siedem dni dusza dostawała się po kolei przez siedem trybunałów, by po następnych piętnastu dniach dotrzeć do ósmego, po roku do dziewiątego, a po trzech

latach do dziesiątego, gdzie czekała ją reinkarnacja. Musiała wypić herbatę zapomnienia, podawaną przez boginię Meng. Po drodze do kolejnych trybunałów dusze były wymyślnie torturowane: wrywanie języka, przecinanie na pół, wrywanie wnętrzości i inne atrakcje. Ci, którzy zmarli śmiercią gwałtowną lub przedwczesną, oczekiwali w specjalnym miejscu, aż nadejdzie czas ich przewidywanej śmierci. Mogli się stać niebezpiecznymi zmorami poszukującymi duszy, która mogłaby ich zastąpić.

Z czasem obrzędy stają się coraz mniej dosłowne. Kolorem żałoby nadal jest biel, czyli brak koloru

Kiedy ktoś umiera, na drzwiach jego domu zawieszają się kwadratowe arkusze białego papieru, a na drzwiach sąsiadów przykleja się czerwone kartki – symbol życia, które nie przerwało się, ale przeszło do innego wymiaru. Wieńce kwiatów, kadzidła, świece stanowią emocjonujący scenariusz w czasie procesji krewnych zmarłego. Najbliższa rodzina, ubrana na biało, towarzyszy trumnie do miejsca pochówku. Słychać odgłosy gongu, skrzypiec i bębnow. Jeśli zmarłą osobą jest ktoś znany, gra się żałobny marsz w czasie pogrzebu państwowego. Wystrzeliwuje się sztuczne ognie jako symbol oddalenia złych duchów, buduje się papierowe modele samochodzików, domów i pieniędzy, a potem pali się je w celu ułatwienia przejścia duszy poprzez dziesięć sądów zaświata. Według tradycji taoistycznej, kiedy osoba umiera w domu, należy przykryć wszystkie lustro, ponieważ dusza mogłaby złapać odbłask żywej osoby i zabrać ją ze sobą w zaświaty. W południowych Chinach praktykowane jest ofiarowanie zwierząt, szczególnie wołów lub bawołów. Bawół stanowi sposób mediacji pomiędzy światem żywych i zaziemskich. Jego ciało jest dzielone na 36 części i rozdawane osobom obecnym na pogrzebie, przestrzegając ustalonego porządku według pozycji społecznej.



W tradycyjnych domach chińskich progi są bardzo wysokie, a przed drzwiami stoi ozdobny mur albo parawan

Ma to na celu powstrzymanie złych duchów, które nie mogą skakać, tylko włożyć nogami i mogą się poruszać jedynie w linii prostej. Najwyższy sędzia świata podziemnego to Yanluo, odpowiednik hinduskiego boga śmierci Jamy. Jego dziesięciu braci kierowało 10 trybunałami. Dwa główne demony piekieł to Pysk Konia i Głowa Wołu. Jak widać, świat podziemny jest równie biurokratyzowany.

Jakkolwiek czasy się zmieniają i zmienia się tradycja, ale są jeszcze rejony, zwłaszcza na odległych wsiach, gdzie nadal trzyma się tradycji pogrzebowych

Dobrze skrojone szaty pogrzebowe dla umierającego są uszyte jeszcze długo przed spodziewaną śmiercią. Kiedy umierający znajduje się w śpiączce lub agonii, zaczyna się proces ubierania kochającego w te szaty. Jeśli niedomagająca osoba zostanie ubrana w te szaty po śmierci, może zostać „nagim duchem”, kiedy będzie wkraczać do świata podziemnego. Zamiast być skremowane, zwłoki są grzebane w ziemi w trumnie. Ludzie zwykle nie oszczędzają

na zakupie trumny i są bardzo hojni, często cała rodzina składa się na zakup drogiej trumny zrobionej z drewna cyprysowego lub nawet mahoniowego. Członkowie rodziny wkładają siedem monet pod ciało zmarłego, co ma zapewnić pomyślność potomkom zmarłego. W większości przypadków trumna z ciałem jest wystawiana przez kilka dni dla rodziny i przyjaciół, oplakujących zmarłego. Znajduje się tam też tabliczka ze zdjęciem, gdzie składane są ofiary z owoców, wina i innych potraw. Rodzina, przyjaciele kupują wieńce lub oferują pieniądze w wysokości podobnej, jak opłata za wieńiec. Mnisi buddyjscy i taoistyczni modlą się za dusze zmarłego. Przed zanieśieniem trumny na cmentarz członkowie rodziny zwykle tłuką miskę albo talerz. Według legendy w podziemnym świecie znajduje się stara kobieta która próbuje nakłonić każdą duszę do wypicia specjalnej zupy, która nie pozwala na reinkarnację. Jeśli miska zostanie sfluczona, zupa się rozleje i zmarły uniknie niebezpieczeństwa wypicia zupy.

Pogrzeb jest wydarzeniem niesłychanie istotnym w chińskiej tradycji, dlatego trwa całe 3 dni

Mocne nasycenie dźwiękami czynności pogrzebowych. Na zmianę odtwarzane są chińskie melodie ludowe, skandowane buddyjskie modli-

twy, dźwięki saksofonu altowego oraz skoczna muzyka współczesna. Dla obserwatora z kręgu kultury zachodniej szybko staje się jasne, że sposób oddawania czci zmarłym w Chinach różni się od tego, jaki znamy z naszych doświadczeń. Celem, jaki przyświeca rodzinie, a zwłaszcza najstarszemu synowi zmarłej osoby, jest przyciągnięcie jak największej liczby obserwatorów. Jeżeli rodzinie nie uda się zgromadzić okazałego tłumu gapiów, może to świadczyć o niedostatecznym szacunku, jakim darzyła zmarłego. Nie powinny zatem zaskakiwać dyskotekowe przeboje ani popisy odtwarzane w ramach obrzędów, należy bowiem pamiętać, że w roku 2006 władze chińskie oficjalnie zabroniły pokazów striptizu popularnego elementu uroczystości pogrzebowych, jakie organizowano celem ich uatrakcyjnienia.

Po trzech dniach, wysłuchaniu ogromnej ilości radiowych przebojów, pozbawiony striptizu nieboszczyk zostaje skremowany

Życie w okolicy wraca do normy. Trumna jest eskortowana na cmentarz w towarzystwie żałobników noszących szale ze zgrzebnego płótna i zawodzących. Przy grobie rodzina pali „papierowe pieniądze” i inne przedmioty potrzebne zmarłemu, oczywiście też z papieru. Po pogrzebie żałobnicy udają się na stypę, ale podaje się tylko wegetariańskie potrawy. Dania mięsne są zakazane.

Jakkolwiek pogrzeb to powód do rozpacz, to jednak niektóre pogrzeby, bardzo starych ludzi, nie są bardzo smutne

W Pekinie znajduje się 28 cmentarzy i nie planuje się nowych ze względów oszczędzania ziemi pod zabudowę. Jednak starzy ludzie są przywiązani do tradycji i wolą mieć grób na cmentarzu zamiast rozsypanych popiołów. Kupienie grobu to duży wydatek. Istnieją nawet agencje sprzedające



groby, a piękny marmurowy nagrobek może kosztować nawet pół miliona złotych. Ceny idą w górę jak szalone, zwłaszcza że w samym Pekinie żyje ponad milion ludzi po 65 roku życia, a każdego roku umiera około 70 tys. ludzi. W Pekinie zwykle zmarłe osoby są poddawane kremacji, wyjątkając osoby wyznania muzułmańskiego. Jeśli chodzi o osoby związane z pogrzebowym biznesem, są uważane za nieczyste i stoją bardzo nisko w hierarchii społecznej. Tylko osoby bardzo zasłużone, artyści, naukowcy i oczywiście członkowie partii mogą spocząć na cmentarzu bez konieczności zapłacenia fortuny za nagrobek.

W Chinach również jest dzień upamiętniający zmarłych nazywa się *Pure Brightness Day*, tyle że obchodzi się go wiosną. Jest to ruchome święto i nie państwowe. Kultura chińska opiera się m.in. na czczeniu przodków, dlatego też w każdym domu znajduje się ołtarz im poświęcony, przy którym odprawiane są modlitwy.

Qingmingjie, bo taką nosi nazwę Święto Zmarłych po chińsku, zostało ustanowione przez cesarza z dynastii Tang o imieniu Xuan Zong, w 732 roku n.e.

W tym dniu Chińczycy idą na groby swoich przodków, aby tam złożyć kwiaty, odpalić fajerwerki, a także spalić papierowe banknoty. To ostatnie stanowi symboliczne przekazanie bogactwa душom, które odeszły z tego świata i aby w tym innym świecie nie musiały cierpieć z powodu biedy. Inna tradycja nakazuje przynieść na grób jedzenie, którym nakarmione zostaną dusze przodków. Oczywiście groby są uprzednio czyszczone i odnawiane. Służy do tego z reguły mioteczka z wierzby, dzięki której zostaną także odgonione złe duchy. Cała otoczka przypomina nieco nasze polskie podwórko, ludzie całymi rodzinami udają się na

cmentarze, przed którymi tłumnie ustawione są stragany oferujące kwiaty, fajerwerki, falsyfikaty pieniędzy oraz inne ozdoby.

Według wierzeń przebywający w zaświatach zmarli mają takie same potrzeby, jak żywi ludzie, a ich rodziny powinny troszczyć się o ich zaspokajanie, by nie rozgniewać przodków

Tłumy ludzi wynoszą prochy zmarłych członków rodziny z budynków, w których są umieszczone i kładą je na rozstawionych wokół stołach. Przynoszą dary, mające zapewnić przodkom dostatnie życie po śmierci. Najczęściej są to: kwiaty, pieczone kaczki, kureczaki, miski ryżu, gotowane bułeczki i świeże jabłka. Na cmentarz rodziny przychodzą z koszami wypełnionymi jedzeniem, papierosami i tutejszą wódką, urządzając sobie piknik... ❌

Wrzucić coś na ząb...

Nadeszła pora obiadowa; zastanawiasz się, gdzie zjeść, a nic nie przychodzi Ci do głowy? W tych miejscach zjesz smacznie i do syta. Oto subiektywny przegląd krakowskich lokali gastronomicznych.

Krzysztof Szczupak

Student III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Większość z nas lubi dobrze zjeść, acz same gusta kulinarne mamy bardzo różnorodne. Jedni wołają tradycyjną kuchnię polską ze schabowym, żurkiem i pierogami na czele, inni gustują w wielkich hamburgerach z soczystej wołowiny, sosem barbecue i świeżymi warzywami; dla wielu ulubiona kuchnia to ta z Dalekiego Wschodu, jeszcze innym bliskie są smaki słonecznej Italii. Na szczęście Kraków jest na tyle duży, że każdy znajdzie coś dla siebie.

Koko Kurka, czyli wielkie hamburgery z chrupiącym kurczakiem i nie tylko

Na pierwszy ogień idzie jedna z tańszych knajpek, o ile tak można nazwać budkę a obok niej pawilon ogrodowy z rozstawionymi na kostce brukowej stolikami i ławkami. W tym przypadku jednak doskonale sprawdza się powiedzenie „Nie oceniaj książki po okładce”. Lokal jest zlokalizowany obok parkingu przylegającego do Miasteczka AGH, na końcu dość mocno zniszczonej drogi wyłożonej betonowymi płytami. Jeśli zdarzyło Wam się odwiedzić klub Studio podczas któregoś ze studenckich czwartków bądź spędzaliście juwenalia, grillując na Miasteczku, to bez problemu znajdziecie drogę do Koko Kurki.

Płacąc około 10 zł dostajesz monstrualnych rozmiarów hamburgera z panierowanym, chrupiącym kurczakiem, warzywami i świetnym sosem przygotowywanym na miej-

scu. Jeśli nie masz na niego ochoty, możesz wziąć kebaba z tą samą zawartością. Dla osób, które nie lubią brudzić rąk znajdzie się opcja z frytkami w plastikowym pojemniku z przegródkami. Dla tych, którzy preferują klasycznego burgera, dostępna jest wołowina zamiast kurczaka; dopłata to jakieś 2 zł, czyli przyzwoicie. Jedno jest pewne: cokolwiek zamawiasz, zawsze jest świeże i po zjedzeniu nigdy nie czujesz niedosytu.

Fresh, czyli dwudaniowy obiad za 13 zł

Kolejnym wartym zainteresowania miejscem jest jadłodajnia Fresh przy Kawiorach, która znajduje się w ostatnim budynku na rogu, przed wejściem na betonową drogę prowadzącą na Miasteczko. Na mapie gastronomicznej Krakowa to stosunkowo nowe miejsce powstało w październiku ubiegłego roku. Serwowane tam jedzenie określić można mianem „kuchni polskiej”, a z przykładowych potraw można wymienić pieczoną karkówkę, kotlety schabowe, pieczeń rzymską czy podsmażane nóżki kurczaka w panierce, w towarzystwie bardzo smacznych domowych surówek. Warte spróbowania są kremy z grzankami. Z ciekawostek kompot serwowany w słoikach ze słomką. Totalna hipsterka trzeba być i zobaczyć. Tym bardziej, że lokal ma dużo stolików, więc nawet jeśli zbierze się większa grupa znajomych raczej nie ma obaw, że ktoś zostanie bez krzesła.

Pierogi w 50 smakach, czyli witaj w Pierogowym Raju

Już sama nazwa knajpy zdradza, co możesz w niej zamówić, i nie jest ani trochę myląca, ponieważ w menu faktycznie nie ma (prawie) nic innego poza pierogami. Zjeść możemy w dwóch miejscach: przy ulicy Sławkowskiej 25 lub Starowiśniej 18. Pierogi tam serwowane są bardzo smaczne, choć ceny nie należą do najniższych, bo zaczynają się od 10 zł za 12 sztuk, jednak biorąc pod uwagę krakowskie warunki i lokalizację na Starówce, nie stanowi to zaporowej kwoty. Jeśli macie ochotę na coś innego niż jedne z 50 rodzajów pierogów, możecie wybrać barszczyk z uszkami, żurek z jajkiem i kiełbasą bądź naleśniki z jednym z kilkunastu nadzień. Ciekawe miejsce, warte odwiedzenia podczas wiosennego spaceru po Starym Mieście.

Coś na ząb, czyli śledzik w Ambasadzie lub u fryzjera

Jeśli lubisz ryby, a w szczególności śledzika, to Ambasada Śledzia na pewno przypadnie Ci do gustu. Lokal usytuowany jest przy ul. Stolarskiej, podobnie jak należący do tego samego właściciela Śledź u fryzjera – lokal alternatywny, dla osób lubiących mniejsze pomieszczenia. Menu jest proste jak drut – najciekawszymi pozycjami są śledzie przygotowane na wiele sposobów: najbardziej klasyczny w śmietanie



z cebulką, w buraczkach, curry bądź specjalność lokalu – tatar ze śledzia. Porcje są duże, cena (8 zł) adekwatna do tego, co dostajemy. A dostać możemy i więcej, w myśl zasady „rybka lubi pływać” (za 4 zł). Nic dodać, nic ująć – lokal wyjątkowy na gastronomicznej mapie Krakowa, bez konkurencji.

MoaBurger jako definicja dobrego burgera

Jeśli jesteś na rynku przed obiadem i chcesz zjeść coś naprawdę smacznego, zajrzyj do tej burgerowni. Jakość serwowanego burgera można określić na podstawie mięsa 200 gramów solidnego wołowego kotleta, który nie jest wysmażony na wiór, tylko chrupiący i przypieczony z zewnątrz, a soczysty i miękki w środku. Bułki pochodzą z lokalnej piekarni, która dostarcza im je na wyłączność. Dzięki temu są chrupiące i naturalne, jedząc je, czujesz, że nie mogły leżeć miesiącami zafoliowane na półce sklepowej. Do tego warzywa dobre i świeże, plus znakomity sos. Minusami tej niewielkiej w powierzchni burgerowni są oblegające ją masy ludzi

oraz stosunkowo wysokie ceny, startujące od 17 zł, a kończące na niemal 30 złotych. Pomimo tego miejsce absolutnie warte odwiedzenia dla każdego miłośnika burgerów, aczkolwiek na własną odpowiedzialność, bo gdy raz tam zjesz, nie będziesz chciał patrzeć na inne burgery.

Lam Hong, czyli prawdziwy smak Dalekiego Wschodu

Na koniec wracamy do Miasteczka Studenckiego AGH, tym razem jednak do budynku stanowiącego nieformalne serce tego miejsca, czyli tantejszego marketu. W tym samym bowiem budynku znajduje się wiele różnych punktów usługowych, gastronomicznych, ale jeden z nich zasługuje na szczególną uwagę. Lam Hong jest barem orientalnym w całości prowadzonym przez Azjatów, co daje nam pewność, że potrawy przyrządzają osoby naprawdę znające wschodnią kuchnię. Zamawiając danie, najlepiej poprosić o obiad dnia za 14 zł i według uznania wybrać frytki albo typowy dla kuchni azjatyckiej ryż. Będąc w tej knajpie nie zapomnijcie poprosić

o ostry, gęsty sos z czerwonej papryki, który ma wspaniały, niepowtarzalny smak, oczywiście jeśli ktoś gustuje w ostrych dodatkach do potraw. Alternatywę dla typowego azjatyckiego obiadu stanowią skrzydełka w ostrej panierce bądź klasyka orientalnych barów, czyli oczywiście sajgonki. Dla fana kuchni azjatyckiej ten bar to miejsce absolutnie warte odwiedzenia, nie wspominając o bliskości Miasteczka Studenckiego.

Do smakoszy na zakończenie

Domyślam się, że każdy z Was ma już wyrobione gusta, jeśli chodzi o ulubione potrawy czy miejsca, ale pamiętajcie, że nie warto zamykać się w ramach znanych już wcześniej smaków czy kuchni. Prawdziwa przygoda zaczyna się wtedy, gdy smakujecie nowych potraw. Gorąco zachęcam do kulinarnych eksperymentów zarówno w mieście (w tych czy innych, niewymienionych barach czy restauracjach), ale też i własnej kuchni. Jedzenie nie musi być nudne, a wręcz przeciwnie – może być niepowtarzalne i fascynujące. ✖

Dobrze wypaść na rozmowie kwalifikacyjnej

Rozmowa kwalifikacyjna to niewątpliwie najbardziej stresująca sytuacja dla osób szukających pracy. Można ją porównać do egzaminu w szkole. Spotkanie z potencjalnym szefem lub rekruterem jest jak zdawanie przedmiotu na koniec roku. Dobrze przygotowana osoba poradzi sobie jednak doskonale.

Wioletta Witas

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Podczas każdej rozmowy kwalifikacyjnej ważne jest pierwsze wrażenie. Uśmiech, schludny, elegancki wygląd. Należy utrzymywać kontakt wzrokowy, słuchać i mówić zrozumiale. Należy pamiętać o wyłączeniu telefonu, aby przypadkiem nikogo nie rozproszył dźwięk przychodzącego sms-a. Zabierz ze sobą wszystkie potrzebne dokumenty, takie jak dyplomy, certyfikaty oraz referencje od poprzednich pracodawców, aby potwierdzić posiadane kwalifikacje. Niektórzy rekruterzy przed rozmową proszą o przygotowanie jakiegoś tekstu lub projektu, w zależności od aplikowanego stanowiska. Dziennikarz może zostać poproszony o przygotowanie artykułu na dany temat, a fotograf o zrobienie konkretnych ujęć. Nie odkładaj tego zadania na ostatnią chwilę dobrze się do niego przygotuj. Nie spóźnij się, bądź minimalnie 10 minut przed czasem. Jeśli zdarzy się sytuacja, że jednak nie dojedziesz na umówiony czas, poinformuj o tym rekrutera.

Zbierz informacje na temat firmy, w której chcesz pracować. Na pewno rekruter zada ci pytanie, czy wiesz, czym dana firma się zajmuje. Sam zadawaj pytania. Na rozmowie kwalifikacyjnej nie tylko ty jesteś sprawdzany. To okazja do przekonania się, czy dane stanowisko

będzie ci odpowiadało pod względem obowiązków, wynagrodzenia czy czasu pracy. Pierwsze pytanie powinno dotyczyć wymagań pracodawcy, dopiero później wynagrodzenia.

Zrób listę swoich mocnych i słabych stron. Na pewno na rozmowie rekruter poprosi cię, byś opisał siebie pod względem twoich wad i zalet. Przygotuj wcześniej odpowiedzi, by nie wymyślać ich na poczekaniu. Wybierz trzy zalety, które będą pożądane na stanowisku, na które aplikujesz. A co z wadami? O nich nikt nie lubi mówić, najlepiej więc wybrać takie, które mogą się jednak okazać... zaletami. Kolejną dobrą strategią jest wybranie wady i wybronięcie jej, pokazanie, że nie jest już ona naszą słabością lub skrupulatnie z nią walczymy.

I najważniejsze: bądź pewny siebie, uwierz w swoje możliwości. Skoro zostałeś zaproszony na rozmowę, to znaczy, że pracodawca jest tobą zainteresowany. Nie zapominaj, że rozmowa kwalifikacyjna to doświadczenie. Niekoniecznie musisz dostać pracę na stanowisku, na które rekrutujesz. Ważne jest jednak to, że będziesz już wiedział, jak wygląda przebieg samej rozmowy kwalifikacyjnej. Kolejna nie będzie ci już straszna. **K**

Poradzić sobie ze stresem

Szybkie tempo życia, stałe napięcie, pogoń za sukcesem, brak relaksu i odprężenia – wszystko to skutkuje destruktywnym stresem, tym negatywnym, obciążającym cały organizm. Niewątpliwie potrafi on negatywnie wpłynąć na nasze życie, zachowanie i kondycję organizmu. Jak sobie z nim radzić?

Wioletta Witas

Studentka III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Stres objawia się między innymi przyspieszonym biciem serca, gęsią skórą, wzmożoną potliwością ciała (w szczególności dłoni), płytszym i szybszym oddechem, brakiem kontroli nad emocjami. Dlatego prawidłowa regeneracja to podstawa. Odpowiednia ilość snu, wolny czas spędzony na rozwijaniu pasji lub zwykły odpoczynek z ulubioną książką korzystnie wpływa na stan psychiczny organizmu. Dla wielu najlepszym lekarstwem na stres jest jedzenie tu pamiętać należy, by nie były to fast foody czy kubek lodów zjedzony przed telewizorem o 1 w nocy. Odporność na stres można „zbudować” dietą. Dobrze odżywiony organizm lepiej sobie radzi ze skutkami napięcia. Nie bójmy się węglowodanów złożonych, to one są odpowiedzialne za poziom kortyzolu hormo-

stresu. Ważne są również kwasy omega3, witaminy D, B oraz magnez. Osoby zestresowane powinny jeść dużo owoców, warzyw, mięso oraz ograniczyć słodycze i fast foody.

Poza tym regularne uprawianie sportu, które przynosi nie tylko korzyści zewnętrzne, ale pomaga również zachować równowagę wewnętrzną. Poranny jogging czy krótka sesja jogi pobudzi krążenie i przygotowuje nasz umysł oraz ciało na stawianie czoła wyzwaniom. Zdeenerwowanie, frustracje, negatywne emocje lepiej zostawić na siłowni, niż rozładowywać je w domu na bliskich. Endorfiny wytwarzane podczas aktywności fizycznej hamują wzrost kortyzolu. Organizm wpada wtedy w stan odprężenia, który może trwać nawet do 24 godzin. Na pewno każdy zna ten moment, zaraz przed ważnym wystąpieniem, wejściem na egzamin lub rozmową z szefem.

Co robić w momencie kulminacyjnym napięcia, gdy nasz oddech i bicie serca jest szybsze? Na to jest jedno, lecz skuteczne rozwiązanie.

Głęboki wdech i wydech. Najlepiej kilka pod rząd. To dotleni nasz mózg, a umysł „oczyszczy z paniki”. Jest wiele technik udoskonalających oddychanie. Uśmiech, nawet ten sztucznie wywołany, potrafi zdziałać cuda. Jeśli wiesz, że czeka cię ciężki dzień, stań przed lustrem, uśmiechnij się do siebie. Nie od dziś wiadomo, że śmiech to zdrowie. Śmiejąc się, możemy dać upust złym emocjom, poprawić humor w kilka sekund. To naprawdę działa. Zadzwoń do kogoś bliskiego szczerą rozmową rozluźnia. Spotkanie z bliską osobą, wspomnienia dobrych chwil lub zwykle oglądanie komedii wpływa pozytywnie na psychikę. Spędzaj więcej czasu na świeżym powietrzu, by dotlenić organizm oraz syntezować witaminę D. Promienie słoneczne pomagają organizmowi wytwarzać serotoninę, poprawiając przy tym nastrój i samopoczucie.

Pomysłów na rozładowanie napięcia może być wiele, mimo wszystko najważniejszym z nich jest pozytywna akceptacja. Wielu sytuacji stresowych nie da się wyeliminować z życia (egzamin, ważna rozmowa), ale można nauczyć się z nimi funkcjonować. Ważne, by stres nie przewyższył pozytywnych stron życia. Myśli tworzą rzeczywistość, dlatego myślimy pozytywnie. **X**



Zdrowie i przygoda na dwóch kółkach

Na wiosnę wszystko budzi się do życia, a ludzie wychodzą ze snu zimowego, aby korzystać z pierwszych słonecznych dni. Jak je spędzić? Można na rowerze.

Krzysztof Szczupak

Student III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

Przyszła wiosna, a wraz z nią wiele osób wyciągnęło rowery z garaży, piwnic czy balkonów. Dla jednych rower to tylko środek transportu w drodze po bułki do sklepu, może do pracy, zaś inni traktują jazdę na nim jako hobby, a czasem sposób na życie. Ciekawym kompromisem pomiędzy wykorzystaniem roweru jako środka transportu i stricte sportowym może być turystyka rowerowa.

Czym jest turystyka rowerowa?

Właściwie ciężko ją jednoznacznie zdefiniować. Po pierwsze, różnice mogą występować w sprzęcie, gdyż jeden będzie jeździł typowym „góralem”, drugi rowerem trekkingowym, a trzeci rowerem szosowym, często nazywanym „kolarzówką”. Po drugie, różnice dotyczą kondycji fizycznej rowerzysty, a więc długości dystansu, jaki może on przebyć. Bez względu na wszystko, chodzi tu o możliwość spędzenia czasu na świeżym powietrzu, z korzyścią dla naszego zdrowia, szczęścia (podczas wysiłku fizycznego wydzielane są w organizmie endorfiny nazywane hormonami szczęścia), ale też portfela, gdyż rower nie wymaga żadnych opłat, z reguły rzadko się psuje i nie potrzebuje drogiego paliwa, aby jechać. Same korzyści.

Od czegoś trzeba zacząć

Może zabrzmiało to trywialnie, ale zacząć trzeba od roweru. OK, teraz na poważnie: chodzi przede wszystkim o stan techniczny. Jeśli masz zyłkę do majsterkowania, sam możesz sprawdzić i wyregulować komponenty, czasem zmienić części itp., ale jeśli nie czujesz się na siłach bądź nie masz potrzebnych narzędzi czy smarów, najlepiej znajdź dobry serwis rowerowy i pozwól zaopiekować się twoimi dwoma kółkami profesjonalistom. Koszt takiej usługi nie powinien być szczególnie wysoki, a chodzi tu przecież o twoje bezpieczeństwo. Potem zadbaj o ubiór.

Uwaga do panów – nawet jeśli „obcisłe gatki” mogą wydawać się mało męskie, podczas dłuższej trasy, a już szczególnie po jej ukończeniu, docenisz, że nie ubrałeś szortów. Dlaczego? Ponieważ spodenki rowerowe są wyposażone we wkładkę, w rowerowym światku nazywaną pamperssem, która zapobiega obtarciom w okolicy miejsc intymnych zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Koniecznie kup koszulkę kolarską wyposażoną w ściągacze na rękawach i pasie, dzięki którym żadne owady nie wpadną pod nią, a co najważniejsze plecy nie będą wystawione na działanie wiatru, który może spowodować przeziębienie nerek. Buty na rower powinny mieć zapięcia na rzepy, jednak w zupełności wystarczą jakiegokolwiek wygodne buty sportowe, pod warunkiem, że zawiązane już sznurówki wepchniemy do środka buta po to, aby nie zahaczyć o pracujący mechanizm korbowy. Na koniec najważniejszy element decydujący o bezpieczeństwie, czyli kask. Jeśli chcesz jeździć po drogach publicznych to naprawdę powinieneś go posiadać. Wbrew pozorom kaski rowerowe są bardzo wygodne i lekkie, tak że po kilku przejazdach jego ubieranie stanie się dla ciebie czymś naturalnym. Przydatnym dodatkiem są okulary rowerowe, ale jeśli nosisz na co dzień okulary korekcyjne, możesz jeździć także w nich.

Bezpieczna jazda

To, czy jazda jest bezpieczna, zależy często od nas samych, choć nierzadko to kierowcy samochodów nie wykazują szczególnej uwagi na to, że rowerzysta jest takim samym użytkownikiem drogi jak oni. Aby zminimalizować ryzyko wypadku można zastosować kilka zasad. Po pierwsze, jechać blisko linii oddzielającej jezdnię od pobocza tak, aby kierowca samochodu nie miał problemu z wyprzedzeniem nas. Po drugie, wyraźnie sygnalizować manewry rękoma, analogicznie do tego, jak używamy kierunkowskazów. Po trzecie, starać się



Fot. <https://i.ytimg.com>

unikać dróg wielopasmowych o dużym natężeniu ruchu. Po czwarte, posiadać oświetlenie, jeśli mamy zamiar jeździć po zmroku. Abstrahując od tego, że możemy dostać mandat za jego brak, to w terenie niezabudowanym czy na wsiach, bez oświetlenia nie będziemy widzieć drogi, a kierowcy nas; nietrudno wtedy o wypadek. Wspomniany w poprzednim akapicie kask, w połączeniu z wykorzystaniem powyższych reguł, znacznie zwiększy bezpieczeństwo jazdy na rowerze.

Gdzie jeździć?

Jeźdź wszędzie tam, gdzie masz ochotę. Rower pozwala na odkrywanie miejsc, w które nie wybralibyśmy się z różnych powodów samochodem, a także na bezpośrednie obcowanie z otaczającym światem. Jeśli nie lubisz planować tras bądź przeprowadziłeś się i nie znasz dobrze okolicy, zawsze możesz wejść na strony internetowe społeczności rowerowych i znaleźć ciekawą trasę o różnej długości i trudności. Jeśli jednak lubisz planować, zobaczysz jak dużą frajdę może sprawić samodzielne zaplanowanie wyprawy, a później jej pokonanie. Gdy chodzi o ich atrakcyjność, jestem przekonany, że każdy zakątek Polski oferuje ciekawe i niepowtarzalne trasy.

Co jeszcze może mi się przydać?

Na rowerze, tak samo jak w każdej innej sytuacji, potrzebujemy gdzieś schować rzeczy osobiste, którymi przeważnie są klucze, portfel i telefon. Spodenki rowerowe nie mają kieszonek, a plecak na dłuższą metę odpada, bo krępuje ruchy i nie pozwala plecom oddychać. Rozwiązaniem jest np. sakiewka podsiodłowa, do której zmieścimy bez problemu powyższe rzeczy. Jeśli nie masz bidonu to spraw go sobie razem z uchwytem, gdyż bez plecaka nie będziesz miał gdzie schować butelki z wodą, a nawodnienie podczas kilkugodzinnej jazdy jest bardzo ważne. Przydatny będzie też licznik rowerowy, dzięki któremu, w zależności od zaawansowania technicznego urządzenia, dowiesz się między innymi, jaki dystans pokonałeś.

Napisałem ten tekst do obecnych i przyszłych zapaleńców jazdy na rowerze jako entuzjasta-amator kolarstwa. I też dlatego, że uznaję to za dobry sposób na spędzenie wolnego czasu. Nieważne jaki masz sprzęt i kondycję, gdzie mieszkasz i jak dużo masz pieniędzy turystyka rowerowa jest dla każdego! Z takim przekonaniem wsiądź na rower, pokonuj kilometry, własne słabości, mniejsze i większe podjazdy, a co najważniejsze: miej z tego ogromną frajdę. **x**

Emocje w przystępnej cenie

Na rynku jest wiele małych samochodów, niektóre nie mają niestety za grosz charakteru. Na pewno nie ten.

Krzysztof Szczupak

Student III roku Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna

W ostatnim numerze „Mixera” mieliście okazję przeczytać kilka ogólnych wskazówek odnośnie oględzin wymarzonych czterech kółek. Niniejszy artykuł potraktujcie jako test jednego z wybranych modeli popularnego samochodu, dostępnego dziś za rozsądną cenę, jaki potencjalnie może wybrać student.

1.9TDI: więcej niż tysiąc słów

Seat Ibiza trzeciej generacji o oznaczeniu 6L, bo o nim mowa, jest jednym z wielu produktów potentata na rynku motoryzacyjnym, koncernu Volkswagen. Debiutował w 2002 roku, dwa lata po Skodzie Fabii I i rok po Volkswagencie Polo, z którymi dzieli płytę podlogową, silniki oraz wiele innych elementów konstrukcyjnych. Samochód ma do swojej dyspozycji silniki benzynowe i wysokoprężne, przy czym szczególnie te drugie są polecane dla osób lubiących dynamiczną jazdę mowa tu o jednostce 1.9TDI. Sam silnik pozostaje legendą, jeśli chodzi o wytrzymałość i niskie spalanie, a w tym przypadku legenda okazuje się faktem. Istnieją doniesienia o nawet 600 tys. km bez remontu głównego jednostki napędowej! Samochód występuje w różnych wariantach mocy mocniejsze jednostki 130 i 160KM montowane były do usportowionych modeli Seata nazywanych FR i Cupra. Warto o nich wspomnieć, gdyż podczas przyspieszania naprawdę potrafią wgnieść w fotel, co ma jednak swoją cenę w postaci szybszego



zużycia m.in. sprzęgła, dwumasowego koła zamachowego czy turbosprężarki.

Niska masa samochodu w połączeniu z wysokim momentem obrotowym diesla pozwala na sprint do 100km/h w ok. 10 sekund. W praktyce pomaga to w bezpiecznym i szybkim wyprzedzaniu na trasie oraz sprawia, że nie stajemy się utrapieniem dla innych uczestników ruchu drogowego. Spalanie należy do bardzo przyzwoitych: spokojny kierowca, jeżdżąc głównie po mieście oraz czasem w trasie, nie powinien przekroczyć 6 l ON/100 km. „Ciężka noga” oznacza wzrost apetytu na paliwo o jakieś 1,5-2 litrów, ale to wciąż pozytywny rezultat.

Skrzynia biegów: topornie, ale wytrzymałe

Ibiza jest wyposażona w pięciobiegową skrzynię manualną, która sprawia trochę problemów przy ocenie. Powodem jest jej niezbyt precyzyjna praca, na którą skarżą się w zasadzie wszyscy użytkownicy tego modelu. Ruchy gałką są długie, a same biegi wchodzą dość topornie, szczególnie niższe przy wyższych przełożeniach (od „trójki” w górę jest już lepiej). Na plus ocenić trzeba fakt, że nie ma problemów z samym znalezieniem biegu, a także bardzo dużą wytrzymałość mechaniczną tego podzespołu. Jej żywotność to pewnie żywotność całego samochodu. Warto też wspomnieć o sprzęgle; jest rów-

nie wytrzymałe ale, jak wszystko, ma określoną trwałość, na którą wpływają m.in. styl jazdy kierowcy (częste szybkie przyspieszanie i „kręcenie” silnika do wysokich obrotów) czy stan dwumasowego koła zamachowego. To ostatnie potocznie nazywane „dwumasem” („dwumasą”) z założenia ma służyć większej kulturze pracy silnika, a w rzeczywistości raczej naciąga na koszty.

Zawieszenie: świetne, ale nie dla każdego

Prowadzenie samochodu wymaga dobrego zawieszenia i pod tym względem Seat odrobił pracę domową. Zawieszenie jest sztywne i twarde, zatem dla osoby, która na pierwszym miejscu stawia komfort (rozumiany jako płynne wybieranie dziur bez wstrząsów), samochód okaże się nietrafionym wyborem. Jednak osoby lubiące szybko pokonywać zakręty zakochają się w tym aucie. Jego zawieszenie w połączeniu z bezpośrednim działaniem układu kierowniczego daje bardzo dobre wyczucie samochodu w zakręcie i pozwala na jego pokonanie z naprawdę niezłą prędkością.

Wnętrze: poprawnie wykonane, ale z kiepskich materiałów

Wnętrze, podobnie jak skrzynię, trudno poddać jednoznacznej ocenie. Z jednej strony można mówić o ciekawym designie kokpitu z charakterystycznymi okrągłymi obudowami nawiewów, niedużej liczbie przycisków (wszystko jest na swoim miejscu) oraz agresywnym czerwonym podświetleniu „zegarów”, z drugiej strony razi jakość użytych materiałów i ich spasowanie. Już w kilkuletnich egzemplarzach można zauważyć odklejanie się materiałowej tapicerki na drzwiach, łuszczący się lakier na uchwytych do otwierania drzwi, okolicach prędkościomierza i obrotomierza, głównej konsoli. Podczas jazdy po gorszych drogach do naszych uszu dociera symfonia trzasków i in-

nych nieciekawych dźwięków, które dla samochodów klasy miejskiej z początku ubiegłego dziesięciolecia są czymś naturalnym. Do plusów można zaliczyć trwałość tapicerki na siedzeniach, a to w tej klasie samochodów jest najważniejsze. Bo chyba nikt nie oczekuje po małym miejskim samochodzie luksusów mercedesa?

Klimatyzacja i ogrzewanie: prostota lub komfort

W zależności od wersji, samochód mógł być wyposażony w klimatyzację manualną bądź automatyczną, tzw. Climatronic. „Klima” to dziś takie minimum komfortu. Obydwa rodzaje klimatyzacji są w porządku, ta automatyczna lepiej wygląda i pozwala na dokładne nastawienie temperatury wnętrza, za to do plusów manualnej można zaliczyć prostą konstrukcję (brak wyświetlacza ciekłokrystalicznego, mogącego ulec uszkodzeniu) i niskie koszty napraw. Samo działanie (sprawnej) klimatyzacji latem jest świetne, zimą w przypadku diesla sytuacja jest gorsza, gdyż ze względu na ciężki blok silnika (grube ściany) i związaną z tym dużą bezwładność termiczną, płyn chłodniczy potrzebuje więcej czasu na osiągnięcie temperatury zapewniającej nam ciepło.

Głośne audio i jeszcze głośniejszy silnik

Silniki wysokoprężne starszej konstrukcji, takie jak montowany w Ibizie 1.9TDI, cechuje głośna praca i dźwięk. W tak małym samochodzie przekłada się to na przenoszenie części drgań silnika do kabiny, ale przede wszystkim dźwięku. Trzeba szczerze powiedzieć: w samochodzie jest głośno; do 120km/h jeszcze w porządku, powyżej tej prędkości hałas zaczyna być wyraźnie słyszalny, aż do momentu, gdy z trudem słyszymy (lub już nie), co mówi do nas pasażer.

Nagłośnienie jest na przyzwoitym poziomie, szkoda tylko, że nie wszystkie samochody wyposażone są

w głośniki dla pasażerów tylnej kanapy. Warto zastąpić fabryczne radio, które umożliwia jedynie odczyt płyt CD, radiem posiadającym wejście USB i AUX albo też łączność bezprzewodową Bluetooth, pozwalającą nie tylko na odtwarzanie muzyki z telefonu, ale także na rozmowy przez zestaw głośnomówiący.

Podsumowanie

Seat Ibiza 3 generacji jest samochodem klasy miejskiej, zatem ciężko po nim oczekiwać przestronnego wnętrza czy eleganckiego wykończenia. Niedostatki nadrabia świetnym zawieszeniem o niemalże sportowym charakterze i dynamicznym, a zarazem oszczędnym silnikiem diesla. Można go polecić jako pierwszy samochód dla młodej osoby, która nie ma jeszcze rodziny i najczęściej jeździ sama, zabiera na pokład jedną osobę, choć tylna kanapa jest funkcjonalna, nawet jeśli nie dla trzech osób. Wartością dodaną jest ładna stylistyka nadwozia, która nawet po 13 latach od premiery nie wygląda przestarzałe. Także umiarkowany spadek wartości. Bolączką może być fakt, że na polskim rynku jest masa samochodów z kręconymi licznikami, bądź wypadkowych, co może oznaczać,



że nawet (fabrycznie) ocynkowana blacha nie ochroni przed rdzą, a wyjątkowo wytrzymały 1.9TDI będzie równie wyjątkowo zużyty. **x**

Powiedz szczerze:

**czy wiesz, co będziesz
robić za kilka lat?**

Prawda jest taka, że tego nie wie nikt.

Dlatego

**NIE STRAĆ SZANSY
na lepszy start!**

Zdobądź cenne doświadczenie
zawodowe już na uczelni!

Do tego łatwo, miło i przyjemnie!

**Dołącz do redakcji MlxERA
i zdobądź ceniony wpis do CV!**

UWAGA! To nieważne, na jakim
kierunku studiujesz!

NAPISZ TERAZ NA ADRES:
gazetamixer@gmail.com

